

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III

Kraków, dnia 4 sierpnia 1946 r.

Nr 31 (88)

Z OKAZJI

WRĘCZENIA NAGRODY LITERACKIEJ „ODRODZENIA” TADEUSZOWI BREZIE

WYGLÓSILI PRZEMÓWIENIA: MARIA DĄBROWSKĄ, STANISŁAW ŁEMPICKI, TADEUSZ BREZA, JULIAN KRZYŻANOWSKI, KAZIMIERZ CZACHOWSKI, JERZY ANDRZEJEWSKI, ZOFIA DEMBIŃSKA, STANISŁAW WITOLD BALICKI, KAROL KURYLUK, JULIAN PRZYBOŚ, JERZY RONARD-BUJAŃSKI.

MARIA DĄBROWSKA

Po kilku latach wojny mieliśmy powody sądzić, że literatura polska nie prędko odezwie się i że to będzie nawet usprawiedliwione, zgodnie ze strofą Mickiewicza, zaczynającą się od słów „Ach, czyż usta śmiać po- chlebiać sobie, że dzisiaj znajdują to serdecz- ne słowo, które rozczuli rozpacz marmuro- wą”, a kończącą się słowami „nim się te usta znajdują, wiek przemienie”.

Lecz nie minęły dwa lata, kiedy oto prze- mówiło wiele pisarskich ust. I przemówiło w o tyle cenny sposób, że jury, mające przy- znać największą z wyznaczanych dotychczas i pierwszą za tom prozy nagrodę literacką, było w kłopotcie, bo nie jedna, nie dwie, ale spora ilość książek zdawała się prawie jedna- kowo być godna wyróżnienia.

Do ostatecznego zaś rozważenia weszły dwie książki, różniące się między sobą nie warto- ścią, nie poziomem swych wartości artystycz- nych, ale jedynie rodzajem tych wartości, rod- zajem literackim i t. zw. klimatem artystycz- no-duchowym autora. To pewne bogactwo dorobku literackiego, powstałego częściowo w piekielnych warunkach wojny i okupacji niemieckiej, rokuje dobre nadzieje na przy- szłość.

Z przyjemnością stwierdzam też, że do na- szej tak bardzo zakobiecej, chociaż zupeł- nie nie zniewieściałej literatury, wchodzi tyłu mężczyzn i tak pomyślnie.

Jeżeli zdolamy przewyciężyć dolegające nam jeszcze i nierzadko z winy własnej ma- łoduszności, niejaki braki w dziedzinie swo- body myśli, jeżeli wzmoczymy naszą, nie zaw- sze okazywaną w nowych utworach, dbałość o język polski, to literatura polska w kraju rozwinie wielkie skrzydła i nie pozostanie mi wtedy nic więcej, jak tylko życzyć moim młodszym utalentowanym kolegom, czy koleżankom po piórze, żeby niez mordowanie z największą surowością szukali poprzez piękn- o często tak trudnego do rozróżnienia błys- ku prawdy i aby szczęśliwie strzegli się fał- szu tego — mówiąc znowu słowami Mickiewi- cza — „złego moneciara”, który zubożyłby cały kraj, chociażby najbardziej ułatwiał życie.

Wierzę, że starczy im na to sił i niezależno- ści ducha i cieszę się myślą, że tych sił im starczy.

STANISŁAW ŁEMPICKI

Jury nagrody „Odrodzenia” przyznało więk- szością głosów nagrodę tę w kwocie 100.000 zł. Tadeuszowi Brezie za powieść „Mury Je- rycha”. Na drugim miejscu wyróżniony zo- stał Wojciech Żukrowski, świetny, młody pi- sarz, a mówiono zaszczytnie i o innych: prze- de wszystkim o Andrzejewskim, Brandysie, Dygacie, Rusinku i Szmaglewskiej.

Trzeba podkreślić z ogromnym zadowole- niem i radością, że członkowie jury mieli prawdziwą, głęboką satysfakcję, oglądając bo- gaty plon, przeważnie powieści — choć nie brakło studiów i pamiętników — widząc cały wspaniały szereg nowych talentów pisarskich, o których (z małymi wyjątkami) przed wojną wcale lub prawie wcale nie słyszano. Nie wszystkie tu przecież nawet wymieniono, choćby nie jeden jeszcze zasługiwał na wzmiankę.

Rozpatrywanie tych prac nastęrczyło też członkom jury wiele pouczających uwag, któ- rymi zapewne zechcą podzielić się z czytel- nikami naszych czasopism literackich. Mno- gość talentów, różnorodność tematyki, cha- rakter strony formalnej w szerszym tego sło- wa znaczeniu, nieraz oryginalność kompozy- cji, a bardzo często piękny, nie zepsuty prze- wojną język polski, pozbawiony niedawne przesady i baroku, a prosty i celowy — oto kilka tylko momentów z tej literatury, z któ- rą mieliśmy do czynienia, a która świadczy, że gleba odrodzonej, niepodległej, demokra- tycznej Polski jest żyzna i dla kultury lite- rackiej.

Ale dlaczego jury wynagrodziło większo- ścią głosów Tadeusza Brezę, który byłby o- trzymał zapewne i inne głosy, gdyby mu dro- gi do tej wyłączności nie zagroził inny, rów- nież bardzo utalentowany pisarz, któremu sam Breza z pewnością jak najlepiej życzy? Dlaczego wynagrodziliśmy książkę Brezy, choć jest dopiero pierwszą częścią dzieła, może trylogii, której tytuły są już nawet za- powiedziane przez autora? Nie mamy z tej książki jeszcze widoku na całość, na zamie- rzenia autora, niewątpliwie o wielkiej roz- piętości.

Zadaniem przemówienia jest jednak nie

dalekością perspektyw politycz- no-społecznych, moralnych i kultural- no-obyczajowych. Spojrzał jak w głąb to- pieli w różnolite zagadnienia współczesności, w psychologię tych ludzi i środowisk i klas, które przedstawił z takim niezwykłym bo- gactwem charakterów i typów. To głębokie spojrzenie Brezy we wszystko, o czym mówi, a przy tym ta uderzająco wysoka klasa, ta — jak się dawniej mówiło — rasowość urodzo- nego pisarza, ten wielki talent i ta mocna gło- wa znakomitego, bezwzględnie intelektual- sty były nam rękojmią, że pierwszy tom dzieła

rupcja różnych panów i paniczów z mini- sterstw, a w ogóle satyra Brezy, jego juwe- nalowe pióro, nieraz aż jadłem i niepociąga- jącym wstrętem zaprawne, a kobiety i ten erotyzm, którym książka Brezy, jak większość nowej powieści, jest naturalistycznie nasycy- na... Tylko słysząc te słowa niech nikt nie pomyśli, że to krytyka Brezy, że powieść Brezy to film, pęd, płytkość, plastyka róż- nych, licznych sędziów 20-lecia, choćby nie wiem do jakiej tam potęgi podniesiona. To jest całkiem coś innego. Tu się przypomina warsztat takich pisarzy jak Kaden-Bandrow- ski i Berent, jeśli idzie o kunszt artystyczny, o robotę pisarską, o ten trud, z którego wy- rastają rzeczy czasem niełatwe, może i cięż- kie, ale ważne i mocne pod względem swego ciężaru gatunkowego, ale wrażliwe się w mózg i serce czytelnika nie na bezplenny żywot. Język Brezy piękny, zwarty, nie rzu- cający słowem na darmo przykuwa czytel- nika do jego książki.

A teraz po tej krótkiej i dorywczej charak- terystyce dzieła wynagrodzonego, pozwalam sobie zwrócić się do Pana wprost, Szanowny! Drogi Autorze. Z niemodnym dzisiaj wzru- szeniem wręczam Panu przyznaną Mu przez nasze kolegiurę nagrodę, dumny z tego, że do- staje się w godne ręce.

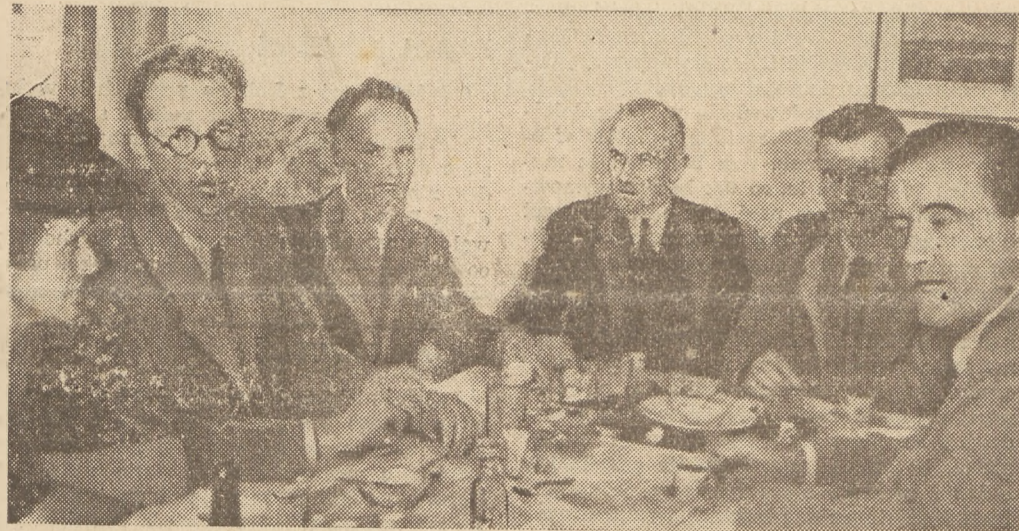
Imieniem kolegów moich, członków jury, myślę, że także i tych, co głosów za Panem nie oddali, oraz skromnym imieniem własnym życzę Panu równie znamienitego dokończenia wielkiego cyklu, jak znamienity jest jego po- czątek, i zajęcia takiego stanowiska w odra- dzającej się literaturze polskiej, do jakiego jest Pan ze wszech miar przeznaczony i upo- sązony.

TADEUSZ BREZA

Wysoki Sądzie Konkursowy! Ten dzień, ta chwila, w której przemawiam, jest dla mnie prawdziwie wyjątkowa. Bo dotąd tak się układał bieg mej drogi literackiej, że nigdy nie mogłem mieć pewności, czy wstąpiłem na drogę właściwą. Tym więcej, że przed wstą- pieniem na tę drogę próbowałem dróg róż- nych, dość odmiennych od literatury. Napi- sałem pracę filozoficzną z teorii poznania, która czasem bywa wspominana na semina- riach filozoficznych. Byłem w klasztorze be- nedyktynów, gdzie liczałem pierwszych świe- ców, ale po jakimś czasie rozstałem się z po- wołaniem, czy też ono ze mną. Byłem również attaché dyplomatycznym jednej z naszych ambasad za granicą. Ze wszystkich tych dróg jednak zawróciłem, uparcie dążąc do litera- tury. Zawróciwszy napisałem „Adama Gry- wałda”, co — sądzę, że to nie będzie rewela- cją dla krytyków tu zgromadzonych — nie cał- kiem uzasadniało mój odwrót ze wszystkich tamtych dróg. Ale wiedzą doskonale wszyscy ci, których tknął demon uporu literackiego, że kiedy raz osiągnął on człowieka, już go nie odstąpi!

I dlatego dzisiaj dzień, gdybym go sobie wyobraził inaczej, a więc na przykład tak, że za jakąś pracę filozoficzną cytowany był- bym nie po seminariach, ale na zjazdach nau- kowych, albo tak, że za wyjątkowo światło- bliwy żywot zostałem mianowany opatem, albo tak, że za wyjątkową brutalność w pro- wadzeniu układów międzynarodowych (bo to jest ten rodzaj dyplomacji najbardziej o- becnie ceniony) zostałem mianowany ambas- adorem — nie przyniosłoby mi tej radości, którą odczuwam dzisiaj w związku z przy- nianiem mi nagrody. To jest to czego pra- gnałem!

Zwiększa tę radość wiele rzeczy. Przede wszystkim skład sądu konkursowego, nie tyl- ko dlatego, że na czele jego jest pani Maria Dąbrowska, ale dlatego, że w jego łonie jest kilka osób, które z dawną sobie upatrzyłem na te, które będą dla mnie kamieniem pro- bierczym wartości literackiej mojej książki.



Na obiedzie „Odrodzenia”. Od lewej do prawej: Zofia Breza, Jerzy Andrzejewski, Julian Przy- boś, Leopold Staff, Wacław Kubacki, Czesław Rzepiński.

wyszukiwanie usterek, ale podniesienie stron dodatnich, uzasadnienie rozstrzygnięcia jury.

Breza dał realistyczną powieść o dwudzie- stoleciu Polski, o okresie po śmierci Piłsud- skiego, rządów pułkowników i zmierzcha- jącej sanacji. Może ktoś wolałby raczej je- szcze jedną powieść wojenną, a może męczeń- sko-obożową, te nieraz świetne krwawe re- portaży, czy nawet doskonale skomponowa- ne nowele, które niedawno wstrząsnęły całą Pol- ską. Tadeusz Breza zamierzył co innego: po- wieść o upadającej przed wojną Polsce, o Pol- sce i Warszawie przedwojennej. Dokonał nie- słychanie wnikliwej analizy tej epoki, z r z a d- ko spotykaną u innych pisarzy głębią, rozległością horyzontów,

Breza daje najcenniejsze wróżby o dalszych. Nie tu miejsce na streszczenie i omawianie dzieła Brezy. Książkę, która otrzymała pierw- szą nagrodę, weźmie do ręki każdy inteligent- ny czytelnik polski.

Ale trudno mi nie wspomnieć np. o masce, zdartej przez autora z t. zw. organizacji na- rodowych Polski przedwojennej, z różnych ONRów i polskich hitlerowców, o wspaniałym berentowskim obrazie wielkiego balu u Sztem- lerów, na którym przesuwają się przed nami młodopolska plutokracja i burżuazja stolicy, a gdzie równocześnie, jak w „Weselu” Wy- spiańskiego, różne rzeczy w duszach tych lu- dzi się grają — to tylko pewne, choć zasad- niczej wagi, świetne rozdziały i obrazy. A ko-



Na obiedzie „Odrodzenia”. Od lewej do prawej: Walery Goetel, Jalu Kurek, Tadeusz Breza, Maria Dąbrowska, Karol Kuryluk, Jerzy Ronard-Bujański, Tadeusz Lehr-Splawiński, Kon- stant Grzybowski.

Jeżeli więc oni mówią, że tak! — to znaczy, że jest dobrze!

Drugą rzeczą, która doprawia moją radość, to ogląd książek, które może o włos, może o pierś, ale minąłem! Własną książkę trudno człowiekowi obiektywnie ocenić. Sąd konkursowy w pewnym sensie dał mi jednak możliwość takiej obiektywnej oceny. Stawiając tę książkę wyżej, niż inne, które minąłem. A to są niewątpliwie książki świetne. Książka Żukrowskiego ma dla mnie urok niespotykany. Pozostałe książki to rzeczy doskonałe. I ta Andrzejewskiego, i ta Brandysa, i ta Dygata, i ta Rusinka, i wreszcie ta Szmaglewskiej. Jeżeli więc przypominam sobie te teksty, a tu mi sąd powiada, że mój jest jeszcze lepszy, radość moja jest chyba zrozumiała. Dla mnie wszystko to razem oznacza rzecz bardzo ważną, a mianowicie to, że uparłem się przy czymś, co nie jest tylko sprawą mojej przyjemności i moich osobistych konieczności, ale przy czymś, co ma również pewien, nie taki znów bagatelny, sens dla innych ludzi.

Poza tym czuję się poruszony, że poszło tu akurat o tę moją książkę. Każdy o swoją się niepokoi. My jednak spod okupacji niepokoił się o nasze książki podwójnie. Przeżyliśmy, jak każdy autor, niepokoję artystyczne, a prócz tego jeszcze przeżyliśmy nieznanym autorom niepokoję, niepokoję techniczne. Ze swoją pracą trzeba się było chować. Unosić ją podczas bombardowań. Drzeć podczas rewizji, bać się o nią, kiedy wokół paliły się domy. To wszystko jeszcze mocniej wiąże człowieka z jego tworem.

W tych czasach książka ta mogła powstać tylko przy uczynnej pomocy ludzkiej. Doznałem jej podczas okupacji wiele. I dlatego w tym momencie myślę o tych przyjaciółach bliskich. O jednych z nich wspominałem na karcie dedykacyjnej książki, której następn

JULIAN KRZYŻANOWSKI

Obrazy nad tym, komu przyznać nagrodę „Odrodzenia“, trwały długo, kilka godzin i wymagały — powiedział otwarcie — pewnego wysiłku. Przy generalnym rzucie oka na nasz dorobek literacki, drukowany w ostatnich miesiącach, pojawiła się niespodzianka, domagająca się oceny. Plon literacki okazał się daleko obfitszy aniżeli można było oczekiwać dzisiaj, a cóż dopiero przed rokiem, kiedy nagrodę tę ustanawiano. Andrzejewski, Brandys, Breza, Dygat, Hołuj, Kott, Malewska, Pigoń, Rusinek, Szmaglewska, Zawicyński, Żukrowski, apostołska wręcz liczba pisarzy, którzy mogli pretendować o nagrodę literacką, lista obejmująca zarówno nazwiska znane jak i nieznanne, ale posiadające już dzisiaj swą wagę. Było zatem w czym wybierać, chociażby tylko z nazwisk.

Powieść, nowela, pamiętnik, rapsod, essay literacki, studium, ukazały nam prozę dzisiejszą w najrozmaitszych dziedzinach. Wybór wskutek tego mieliśmy trudny; czy trafny jest i słuszny — osądzą inni.

W każdym razie byliśmy przekonani, że werdykt czy wyrok okaże się słuszny i znajdzie swoje uzasadnienie w życiu.

Do tej oficjalnej enuncjacji ze stanowiska sądu chciałbym dodać kilka zdań natury nieco ogólniejszej.

Jestem tutaj przedstawicielem ludzi, którzy zawodowo pracują w dziedzinie literatury, w takiej czy innej dziedzinie — sprawa w tej chwili obojętna. Wspólne cele nas wszystkich tu łączą. Z tego stanowiska wychodząc, znalazłem i ja, a sądzię, że również inni członkowie sądu konkursowego, bardzo głębokie i rzetelne zadowolenie. Ilość nazwisk wybitnych pisarzy, ilość dzieł, które pojawiły się w dzisiejszych niesłychanie trudnych warunkach wydawniczych istotnie może imponować. Przed wojną wraz z panią Dąbrowską brałmy udział w analogicznych sądach „Wiadomości Literackich“. Nie przypominam sobie, aby taka ilość autorów i taka ilość dzieł była tam kiedykolwiek rozpatrywana wtedy,

KAZIMIERZ CZACHOWSKI

Wydelegowany przez Ministra Kultury i Sztuki, który nie mógł przybyć dzisiaj, w jego imieniu, w imieniu Departamentu Literatury, którym obecnie kieruje, pragnę powiedzieć krótkich kilka słów. Nie chcę powtarzać już tego, co było powiedziane.

Zdaje mi się, że dzisiejsza nagroda jest dobrą wróżką i dla literatury naszej współczesnej i jej rozwoju i dla tygodnika „Odrodzenie“, pod którego hasłem nagroda została ufundowana przez Spółdzielnię „Czytelnik“ jako wydawcę tygodnika „Odrodzenie“, a przede wszystkim dla laureata Tadeusza Brezy.

to my w tenże sposób należą do innych. O najbliższym jednak przyjacielu nie wspominałem na tej karcie, ponieważ na innej karcie dedykacyjnej go wspominałem. Mówię o mojej żonie, która jest kompanem, sekretarzem i krytykiem takim, o jakim marzyć może i jakiego sobie może życzyć każdy człowiek piszący, prócz może ludzi piszących, będących pisarkami, które muszą sobie wyobrazić wymarzonego kompana, sekretarza i krytyka w nieco innym kształcie.

Książka moja napisana w zimie roku 1941 na 1942 niejedno już przeszła. Okupację, powstanie, obóz w Pruszkowie, w którym, będąc spornym zwłikiem karków i kajetów związanych sznurkiem, służyła mi za poduszkę. Po tych kilku latach, które minęły od jej napisania i po tylu przejściach, nie pamiętałem z niej wiele. Pierwszy zajrzał do niej redaktor „Odrodzenia“, niezmordowany poszukiwacz ukrytych skarbów w naszej dzisiejszej literaturze. Prawie że równocześnie wzięła książkę pod swoje skrzydła Łódzka „Kućnica“, drukując z niej jednym ciągiem, kilkanaście odcinków. Tedy od pierwszych dni książki do dzisiejszego długa jest droga. Tak samo, jak od jej mizernego wyglądu z Pruszkowa do dzisiejszego, do tej prześlicznej szaty zewnętrznej, jaką zechciał jej dać wydawca „Czytelnik“, a głównie jego dyrektor, pieczołowity opiekun wszystkiego, co stanowi o książce.

Jemu dziękuję i wszystkim, którzy mi okazali przyjaźń w mojej pracy i tym, którzy dawali mi ducha. Na ręce profesora Łempickiego, który swoim przemówieniem głęboko mnie poruszył, składam również słowa podziękowania dla całego jury.

To już byłoby, wysoki sędzie konkursowy, moje ostatnie słowo nagrodzonego!

w warunkach zupełnie normalnej pracy literackiej.

Zestawiając stosunki ówczesne z dzisiejszymi, dochodzę do wniosku dla dzisiejszej twórczości literackiej bardzo pochlebnego. Okazuje się, że twórczość literacka naprawdę dostrzega krok do dzisiejszemu życiu.

Nie będę tutaj wdawać się w najogólniejszą chociażby charakterystykę tematów w o wym plonie konkursu, tym bardziej, że musiałbym powtórzyć to, co tak bardzo wymownie przedstawił nam prof. Łempicki. Na ogół biorąc rzecz można ująć w ten sposób, że literatura usiłuje być sumieniem życia zbiorowego, że literatura czujnie śledzi, gdzieśmy byli, gdzieśmy przyszli, gdzie jesteśmy, dokąd zmierzamy. Obserwację swoje usiłuje ujmować w sposób godny uwagi, artystycznie cenny. To wszystko stanowi bardzo poważną rękomię, że literatura jest istotnie na dobrej drodze, że nasza twórczość literacka istotnie spełni, bo już poczęła poważnie spełniać, te zadania, do których z natury swej jest powołana. Okazuje się ona bardzo poważnym ogniwem w naszym życiu zbiorowym, ogniwem godnym istotnie tego miana, które jej dajemy i godnym tej pieczołowitej troski, jaką ją otacza zarówno państwo jak i społeczeństwo.

W sądzie konkursowym większość stanowili nie tyle przedstawiciele frontu literackiego, ile ci, co w czasach dawnych dość pogardliwie nazywani byli „taborem“, nie ludzie tworzący literaturę, ile raczej ludzie tworzący życie czy kulturę literacką przez mówienie o literaturze. Rzecz zupełnie zrozumiała, że oni tutaj w tej chwili wobec decentralizacji naszego życia odegrali większą rolę niż powinni odgrywać. Niech mi będzie wolno w ich imieniu przede wszystkim wyrazić głębokie i szczere przekonanie, że literatura Polski dzisiejszej nie tylko nie sprzeniewierzyła się najświętszej naszej tradycji literackiej, ale odnowiona, odrodzona, dostosowana do wymagań życia nowego będzie ją ku chwale własnej, ku chwale narodu, ku chwale ludzkości kontynuować.

snej i jej rozwoju i dla tygodnika „Odrodzenie“, pod którego hasłem nagroda została ufundowana przez Spółdzielnię „Czytelnik“ jako wydawcę tygodnika „Odrodzenie“, a przede wszystkim dla laureata Tadeusza Brezy.

Zdaje mi się, że w tych słowach streszcza się i rezultat naszych obrad i tego, co przedtem koledzy moi powiedzieli.

bec owych wyroków także jako zbiorowość pisarska.

Mówi się wiele o solidarności różnych zawodów. Sądzę, że mówi się zbyt mało o solidarności ludzi pióra. Niech więc dzisiejszy dzień, który jednemu spośród nas przynosi wyróżnienie tak zasłużone, radosne, pozwól podkreślić ową więź zawodową, wspólnotę rzemiosła i powołania, które łączy nas we wspólnym dla siebie szacunku w tym przeświadczeniu, że różność naszych głosów tworzy ostatecznie harmonijny chór. Dopiero wśród tego koleżeństwa stajemy się spadkobiercami naszych poprzedników i każdą książką, każdym słowem kształtujemy spadek dla tych, którzy nadejdą po nas.

Chciałbym, Drogi Kolego, abys właśnie dzisiaj przyjął słowa zbiorowości pisarskiej sercem tak otwartym, jak otwarta jest nasza radość z powodu wyróżnienia Ciebie jako pisarza, jako artysty, jako jednego spośród nas. Przyjmij więc od pisarzy, Twoich kolegów z krakowskiego oddziału naszego Związku i ode mnie osobiście, najserdeczniejsze powi-

ZOFIA DEMBIŃSKA

Nagroda, która dzisiaj po raz pierwszy została przyznana, nazywa się nagrodą „Odrodzenia“. Nosi nazwę pierwszego tygodnika literackiego po wojnie i nazwę narodowego święta, dzisiaj obchodzonego. Trudno o nazwę, moim zdaniem, szczęśliwszą. W niej wyraża się dawność naszej kultury i naszego państwa. Wszystko to, co towarzyszy dawności — okresy upadku i kłęski oraz przyływ młodzieńczych sił — zawiera się w słowie „odrodzenie“. Gdy dwa lata temu chrzciliśmy nasze pióro nazwą „Odrodzenia“, działo się to w okresie, gdy można było sobie tylko życzyć, spodziewać się i oczekiwać. Nazwa wytrzymała próbę życia.

Świadeństwo odrodzenia się literatury dali w wielu przemówieniach moi przedmówcy, ja chciałabym zwrócić uwagę na to, że nasze nowe powieści, zbiory nowel, reportaże cieszą się coraz większym uznaniem za granicą. To zainteresowanie stale wzrasta, każdy nie-

STANISŁAW WITOLD BALICKI

Miło mi, że taką popularnością cieszy się przeze mnie redagowany „Dziennik Polski“, że Państwo tutaj nawet nie mogą się rozstać z nim. Ponieważ nie ukazało się południowe wydanie „Dziennika“, pozwólcie, że ja notą werbalną zastąpię to wydanie drukowane.

Przede wszystkim nie tyle laureatowi chcę podziękować za dzisiejszą uroczystość, ile sądowi konkursowemu, który nie wprowadził nas, t. zn. redakcji „Dziennika Polskiego“, w kłopot i przyznał nagrodę kandydatowi „Dziennika Polskiego“. Bo my jako geniusz redakcyjny od dłuższego czasu przygotowaliśmy materiał, aby od razu nadwyzwyczajnym

KAROL KURYLUK

Gdyśmy tutaj z Lublina przyjechali w lutym ubiegłego roku, zgromadziła się wokół „Odrodzenia“ grupa literatów przebywających stale albo przypadkowo w Krakowie. Pomiędzy nimi był właśnie dzisiejszy laureat Tadeusz Breza. Gdy „Odrodzenie“ tutaj powstało i pozostało na stałe, gdy już wychodziło co tydzień — stałego współpracownika, przyjaciela i doradcę pisma we wszelkich spr-

JULIAN PRZYBÓŚ

Jeśli ośmielam się zabrać głos w obecności największego ze współczesnych poetów, to tylko dlatego, że Leopold Staff hołduje metaforze o przyszłowiowym złocie milczenia. Obawiam się więc, że moja mowa będzie tylko tym srebrem, które oby nie brzmiało jak owa — również przyszłowiowa — miedź brząkająca przy milczącym złocie.

Kiedy się mówi o prozie, to bardzo często przeciwstawia się ją poezji. Należę do tych teoretyków poezji, którzy wprost twierdzą, że poezja jest to, co nie jest prozą i na odwrót: proza — to zaprzeczenie poezji. Twierdzenie to jest tak proste, że wydaje się aż suchwałe. Wynikałoby bowiem z tego, że nie ma i nie będzie zgody między prozą i poezją, że poezja i proza to — znowu przyszłowiowe — ogień i woda, że położono miecze między tymi dwoma sposobami sztuki słowa. Sądzę jednakże, że jeżeli zła jest proza poetycka, to dobra jest proza tak bardzo czysta, że potrafi podparzeć i użytkować najbardziej czyste sposoby poetyckie. Wykryto bowiem tajemnicę, że poezja, jeżeli pominiemy niesprawdzałą tzw. duszę, która się przez nią wypowiada, że poezja to nie tyle sztuka słowa, ile sztuka tego, co tkwi między słowami, wśród słów, sztuka międzysłowia.

Gdy czytam prozę Brezy, odkrywam takie niezwykle czary dziejące się wśród słów, w tkance jego frazy, w toku zdania. To nie jest proza poetycka, ta najgorsza z próz, miazga nieuformowana ani na kształt prozy, ani nie upostaciowana poetycko, hybryda żenująca i odstrasza. Nie jest to też styl popraw-

JERZY RONARD-BUJAŃSKI

Mógłbym powitać kochanego kolegę w imieniu Polskiego Radia. Ale uważam, że może lepiej, jeżeli to, co chcę powiedzieć, będę mówił w imieniu b. pracowników teatru.

Podobnie jak już kiedyś pozwoliłem sobie w zimnej, bez okien, nieopalonej garderobie Starego Teatru przepowiedzieć mu skromnie, może nie przewidując, że to się spełni w 100.000 zł., sukces wielki na bruku trudnego miasta Krakowa, tak dzisiaj na marginesie tej wielkiej uroczystości pozwalam sobie zwrócić uwagę na możliwości teatralne, jakie tkwią w naszym laureacie. Nawiązuję do tych miłych słów przepowiedni przymierza, które powinno złączyć różne gałęzie sztuki w Polsce. Właśnie teatr polski w tej chwili jest na poważnym rozdrożu. Mimo to, co się mówi, uważam, że grozi głęboka przepaść, że lecimy na dno w teatrze. Chciałbym, by teatr wyciągnął rękę, ten młody teatr, do literatów, pisarzy, poetów i chciałbym wśród

szowania, słowa przyjaźni, a także nadziei, że dzięki Twojej nagrodzonej książce wraz z rozgłosem Twojego nazwiska, Twojego osiągnięcia, rozgłosem wzbogaca się również nasza wspólna polska literatura.

Pozwolisz, że wypiję Twoje zdrowie, Twoich „Murów Jerycha“ i na szczęście, prawdę i trwałość tych książek, które napiszesz.

miał dzień przynosi nam depesze z prośbą o prawa na Andrzejewskiego, Szmaglewską, Żukrowskiego itd. „Mury Jerycha“ dopiero wychodzą w świat i szerszemu ogółowi nie są znane. Ale to, że właśnie ta książka otrzymuje dzisiaj nagrodę, jest wysoce wymowne. Ten łagodny humor, z jakim autor rozprawia się z tym, co coraz bardziej odchodzi w przeszłość polityczną i ideową, jest świadectwem głębokiej wiary i pewności w słuszność własnego stanowiska. Bo tylko taka pewność pozwala ludziom i narodom sięgać po łagodne środki walki. Ale od takiego uśmiechu padły już niejedne mury.

Jako przedstawicielka instytucji, która nagrodę fundowała, jestem szczęśliwa, że mogę pogratulować członkom jury, iż właśnie tę książkę nagrodzili, a laureatowi nie tylko nagrody, ale że otrzymuje ją w takim dniu i z rąk tak powołanych sędziów.

wydaniem zastrzelić społeczeństwo. Najlepsze materiały mieliśmy do Brezy. Kolumna poświęcona Brezie jest gotowa u nas od tygodnia i byłibyśmy w prawdziwym kłopotcie, gdyby nagrodę otrzymał kto inny. Na posiedzeniu redakcyjnym rozważano, czy nie założyć wówczas votum separatim, nie dać notatki, że nagrodę otrzymał któryś z pisarzy od A do Ż, od Andrzejewskiego do Żukrowskiego, a kolumny całej nie poświęcić Brezie. Serdecznie się cieszę, że tę nagrodę otrzymał Breza i dziękuję wysokiemu sądowi konkursowemu, jak i pod sądowemu.

wach miałem właśnie w Tadeuszu Brezie. Ta współpraca zamieniła się w trwałą przyjaźń pomiędzy pismem a pisarzem, pomiędzy redaktorem pisma a Tadeuszem Brezą. I dzisiaj jestem i dumny i szczęśliwy, że właśnie ten jeden z najbliższych przyjaciół i pisma i mój osobisty otrzymał nagrodę i w imię tej przyjaźni chcę wnieść toast.

ny — chwala Bogu! Najgorszym bowiem stylem w prozie jest styl tylko poprawny, bo styl poprawny to styl powtórzony, a styl powtórzy to styl cudzy. Nawet chaos stylowy wróżyć może uformowanie się własnego świata autora, styl tylko poprawny — skazuje na mierność. Breza stara się dać więcej niż tok zwykłej mówionej prozy. Podchwytuje najsubtelniejsze, najbardziej zwinne, niepochwytne odcienie słowa mówionego, tego toku żywego, ale tak żywego, że aż niewyraźnego. W stylu Brezy oddane jest to, czego słowem pisanym na pozór oddać nie można — jest gest, grymas, uśmiech, stojące za słowem, gdy się je wypowiada i gdy słowo uzupełnione żywą obecnością mówiącego zmieścić może więcej treści niż znaczy samo. Słowo — a raczej to co stoi za nim i co je łączy w składni z innymi słowami — zdaje się mieścić wszystkie arriére — i chciałoby się rzec — avant-pensées autora. Czytając prozę Brezy mam niekiedy wrażenie, jakby jego mowa wróciła do źródeł słowa, do gestycznej genezy mowy ludzkiej: do ruchu rąk, mimiki twarzy, do wyrażania całym sobą tego, co się teraz tylko językiem wyraża. I to jest właśnie to wielkie nowatorstwo prozatora Tadeusza Brezy.

Gdybym chciał być prorokiem nie w swojej ojczyźnie, a wiać w ojczyźnie prozy, to bym powiedział, że właśnie mowa Brezy, będąc czystą prozą, zbliża się do dążności czysto poetyckich i zapowiada przez to odnowienie języka literackiego naszej powieści. Oto przymierze między nową poezją a nową prozą polską. Za to przymierze wnoszę toast.

nich odnaleźć siłę czy możliwości, które by mogły pomóc w reorganizowaniu sztuki teatralnej u nas. Zwracam uwagę wszystkich ludzi, a zwłaszcza ludzi teatru, na te możliwości, które Tadeusz Breza dla nas, ludzi teatru, przedstawia. Widzę w Brezie ten smak wysokiej kultury teatralnej, którą ongiś reprezentował niezapomniany Boy-Zeleński i możliwości nawiązania do jego rodzaju krytycznego. Ale poza tym jest jeszcze w Brezie zażalenie na poważnego autora dramatycznego. Radzę mu jednak, żeby „zamach“ na przyszłość robił sam w teatrze, bez spółki. Przymierzam, że w niedługim czasie Breza obdarzy nas sztuką samodzielną i samoistną.

Życzę w końcu Tadeuszowi Brezie, żeby tę sztukę wystawił w teatrze, w którym ja będę pełnił jakąś miłą funkcję. W każdym razie wierzę, że spotkają się nasze drogi jako koleownika literackiego i reżysera.

KAZIMIERZ WYKA

Powieść o polityce

OD WOŁCZYNA DO OTWOCKA

Czas, w którym rozpoczyna się akcja „Murów Jerycha“, pierwszy rozdział tej powieści*) wskazuje nie mniej dokładnie niż rozdział ostatni — główny jej temat. Na pierwszych kartach utworu wyższy urzędnik Prezydium Rady Ministrów Władysław Jelski podróżuje nocą do Brześcia nad Bugiem, by jako reprezentant premiera uczestniczyć w tajemnym złożeniu do grobu Czartoryskich w Wołczynie trumny ze zwłokami Stanisława Augusta. W ostatnich dniach lipca 1938 roku stali czytelnicy „Kurier Warszawskiego“ w rubryce „Wiadomości bieżące“ napotkali komunikat PATa tej oto treści: „**Pogrzeb zwłok królewskich.** W wyniku przychylnego ustosunkowania się rządu sowieckiego do sprawy repatriacji zwłok króla Stanisława Augusta, zostały one przed kilkoma dniami przewiezione z Leningradu do kraju. Trumna ze szczątkami króla spocznie w miejscu jego urodzenia, w zabytkowym kościele w Wołczynie... Jakoż mimo protestów opinii publicznej, mimo specjalnej ankiety „Wiadomości Literackich“ trumna królewska spoczęła w Wołczynie. W powieści Brezy uczestniczy w tym obrzędzie doskonale się zapowiadający Władysław Jelski.

W rozdziale ostatnim „Murów Jerycha“ wędrowni młodzieżowcy Papaty członkowie jego sztabu przedkładają plany antyżydowskiego wystąpienia w Otwocku. Na jakiś tydzień przed tajnym pogrzebem króla obiegła prasę polską inna wiadomość. Na świeżo mianowanego proboszcza jednej z parafii warszawskich ks. Pudra napadł jakiś fanatyk i dotkliwie pobił go w kościele. Napadł dlatego, ponieważ ks. Puder z pochodzenia był Żydem, a prowadzona przeciwko niemu kampania prasowa dowodziła niezbitnie, że ksiądz, Żyd z pochodzenia, to typowa intryga masonska. Prawdopodobnie na wcześniejszych zebraniach sztabu Papaty sprawa ta również była rozpatrywana...

Oto czas i temat powieści Brezy. Pomiędzy podróżą do Wołczyna a naradą u Papaty rozpościera się w tej książce obszerna rewia postaci i wątków powieściowych. Więcej niż jedną trzecią tomu zajmuje opis wielkiego przyjęcia u bogatych i kulturalnych przemysłowców żydowskich Sztemlerów. Oto ich goście: dwaj ministrowie czynni Jaszczka i Dietrich, jeden w odwstawie Kostopolski, prokurator Skirlinski, radca z MSZ Dykiert, konserwator wojewódzki ksiądz Medeksza, znany nam już Jelski. Ów prokurator, radca i konserwator, to nie osobistości pierwsze z brzegu, ale w każdej mierze wybitne. Poza przyjęciem poznajemy wojewodę poleskiego pułkownika Czarskiego i jego sekretarza Sacia, kapitana Dwójki Kozica oraz liczną grupę młodych od skrajnego wychylenia w lewo — drugi Dykiert, Frysz, po skrajne wychylenie w prawo — Czatkowski, Goworek, Dyląg, Medekszanka, sam Papaty.

Oto, jeżeli dodać sylwety artystów, bogaczy, kibiców i snobów, galeria ludzi i środowiska: Warszawa. Do niej, z tej postaci, jak np. wojewody Czarskiego, do ministra sprawiedliwości Jaszczki, wodza Papaty, łatwo dobrać klucz otwierający, kto ich pierwowzorem rzeczywistym; inne postacie mniej się poddają tej operacji. W znakomitej większości są to jednak osoby, które „robią w polityce“, a ten polityczny zamiar książki jeszcze silniej występuje, kiedy przypomnieć jej wątki i węzły.

Są to znów wątki przede wszystkim polityczne. Najbliższe otoczenie Papaty prowadzi podwójną grę wobec własnego „wodza“. Na jego rozkaz przygotowuje się w Otwocku wystąpienie antysemickie, ale równocześnie młodzi sztabowcy polityczni przygotowują sfinansowany napad przeciwników ideowych na Papatę. Ktoś jednak musi ten napad wykonać, ktoś kto inicjatorów nie sypnie. Wybór pada na młodego poetę Fryszka, ceną za napad ma być wysłanie go do Paryża. Poza Warszawą odbywa się inna gra polityczna. Sekretarzem wojewody poleskiego jest młody Sać, związany przekonaniem z grupą Papaty. Został „odkomenderowany“ na ten posterunek, by skompromitować wojewodę i znów jesteśmy świadkami skomplikowanego węzła: Sać trzyma wszystkie nici w rękę, istnieją jednak powody, dla których użyć ich nie może. Z tymi dwoma głównymi wątkami krzyżują się inne pomniejsze: Jelski pomaga księdzu Medekszy, w zręcznej grze wobec ministra sprawiedliwości, odzyskać jego dobra skonfiskowane po roku 1863. Ten sam Jelski zabiega w sprawie brata Dykierta aresztowanego za komunizm, zabiega, by ten wypadek nie zaszkodził karierze radcy. Nawet stały poeta Boidarzewski wybiera się na przyjęcie do Sztemlerów, ażeby pokazać się ministrowi. Może nareszcie dostrzeżę, że na pierście miary patrzy się komandoria Polski Odrodzonej, a nie posiadany dotąd stopień orderu.

*) Tadeusz Breza, „Mury Jerycha“. Powieść. (Kra-ków), Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik“, 1946: str. 334 i 2 n.



TADEUSZ BREZA

TO NIE KADEN

Zatem typowa powieść polityczna — powiadacie. I tak, i nie. Niewątpliwie centralne wątki „Murów Jerycha“ i główne ich postacie zanurzone są w atmosferze politycznej, ale zanurzone w specjalny sposób. Objasni to zestawienie z pisarzem, któremu Breza dużo zawdzięcza, z Kadenem-Bandrowskim. Przewodnikiem niech będzie sam autor „Murów Jerycha“. Równie ciekawy jako essayista, co jako powieściopisarz, ogłosił on w „Ateneum“ (1938, nr 1) essay „Mitologia u Kadena-Bandrowskiego“. Dowodzi w nim bardzo słusznie, że pewna schematyczność postaci kadenowskich w „Czarnych skrzydłach“ pochodzi stąd, że Kaden przedstawia nie tyle ludzi zindywidualizowanych, ile pewne mity, pewne wzory ogólne istniejące w wyobraźni zbiorowej na temat wysoko postawionych politycznie osobistości.

„Kaden — pisze Breza — ucieka się do owych grubych, twardych, niewyrozumiałych mitów, do owych uciskających form, w których wyobraźnia gromady zamyka swych protagonistów... I choć znać, że to kukły, spod ich sugestywności nie możemy się uwolnić, bo instynkt, bo wyobraźnia całej grupy, bo mit świadczy za nimi“. Dlatego to Kaden dba przede wszystkim o „absolutnie trafne oddanie stosunków, sytuacji, związków. By to uczynić, poświęca prawdopodobieństwo postaci — naciąga ludzi“. Dzieje się tak nie tylko w „Czarnych skrzydłach“ (to już dodajemy sami do wywodów Brezy), ale również w „Generale Barcu“ i „Mateusz Bigdzie“. I dlatego to książki Kadena są powieściami par excellence politycznymi, bo góruje w nich przede wszystkim problem polityczny a postaci powieściowe o tyle są ważne, o ile mu służą. W potrzebie Kaden upraszcza je i mitologizuje. Jego Mateusz Bigda tyle ma wspólnego z Wincentem Witosem, co noszona w pochodach kukła — z fotografią.

Jak zaś postępuje Breza z postacią umieszczoną w pośrodku ważnej sytuacji politycznej, ukazuje najlepiej sprawa Sacia. Ten sekretarz Czarskiego dlatego głównie działa przeciw wojewodzie, ponieważ w dziwny sposób kocha się w pannie Ani Smółczance. Jest to córka człowieka, którego w czasie zamachu majowego Czarski sprzątnął ze świata, chociaż się z nim przyjaźnił. Dla dziewczyny najbardziej pożądaną formą zemsty będzie skompromitowanie Czarskiego. Organizacja nastąpiła Sacia dla innych powodów: skoro jednego ze starych polityków się wyluska, inni padają automatycznie. Zadanie Sacia jest proste: wywahać, skąd Czarski czerpie pieniądze na tancerkę Zawiszankę, bo na nią samą wydaje więcej, niż wynoszą jego oficjalne dochody. Fundusz dyspozycyjny w porządku, inne źródła w porządku — dopiero przypadek odkrywa Saciowi prawdę. Cóż, kiedy z dobrodziejstwa przypadku absolutnie on nie chce

domyśla się czytelnik „Adama Grywałda“. Bo „Mury Jerycha“, chociaż na pewno dla większości swych czytelników będą pierwszą powieścią Brezy, nie są bynajmniej pierwszą książką tego pisarza. Była nią wydana przed dziesięć laty powieść „Adam Grywałd“. Tylko nieliczni czytelnicy mogli w niej zasmakować, tak dalece była zgodna z pewną mocno wymyślną modą literacką tamtych lat. Obydwa zaś te fakty, zarówno debiut już dośyć dawny, jak i debiut znany tylko nielicznym kręgom, wydają się dośyć znamienne dla prozaików z pokolenia Brezy. Zanim zdołali naprawdę ustalić swoje pozycje artystyczne, nastąpiła wojna, a dzień obecny znajduje ich na całkiem innym brzegu.

W przypadku Brezy sięgnięcie do „Adama Grywałda“ jest tym bardziej pouczające, że pozwala wymierzyć odległość od jego statutu literackiego po pierwsze lata okupacji („Mury Jerycha“ noszą datę 1942). Jest to odległość od bezwzględnej psychologizacji po psychologię nakierowaną ku wymiarom bardziej konkretnym, mówmy najprościej — wymiarom realistycznym. „Adam Grywałd“ był utworem rozciągającym czyny i charaktery ludzkie w dociekaniach psychologicznych o dośyć dziwnym wyrazie. Dzisiaj odczytany, dużo jest bliższy niesamowitej atmosferze książek Schulza, drwiącej Gombrowicza, aniżeli to dostrzegano krytyka ówczesna. Tylko środowisko tej powieści przypomina środowisko utrwalone w „Murach Jerycha“. Jest to ten sam patrycjat mieszczański, w pierwszej książce Brezy nakreślony w zdiwaczających, schyłkowych i ekscentrycznych formach.

Ale psychologizm w służbie u dziwaków musiał już wówczas być dla Brezy tylko doświadczeniem i etapem, a nie celem ostatecznym, skoro w cytowanym studium o Kadenie napotykały takie znamienne zdania: „Wielotonowa, wielowymiarowa, zrelatywizowana aparatura psychologiczna, ryzostunek duchowy w komplecie zagłusza wydźwięk pewnych brzmień dla społecznego typu powieści jak najbardziej istotny. Nieskończenie ważniejszy niż wszystkie owe psychologiczne półtony, bez których postać w powieści wydaje się nam uproszczona, ale które namnożone, odbierają prawdom moralnym w ogóle, a zwłaszcza lapidarnym kanonom rzetelności społecznej — ich oczywistość“.

Jakoż w „Murach Jerycha“ znajdujemy już wynik tej ewolucji. Breza nie rezygnuje z motywów psychologicznych skomplikowanych i dziejących się równocześnie w kilku wymiarach, ale wszystkim tym motywom nadaje sens konstruktywny. Służą one pełniejszej budowie postaci. To bardziej realistyczne niż dawniej użytkowanie psychologii było u Brezy i jego rówieśników, nie jest ono jednakowoż użytkowaniem czysto i wyłącznie realistycznym. Książka Brezy jest niewątpliwie oporna wobec konkretnych problemów politycznych. Terminów takich jak bezrobocie, klasa społeczna, mniejszość narodowa nie napotykały bodaj nigdzie na jej kartach, a tym więcej nie napotykały rozpalającej namiętności tych słów. Prawda „Murów Jerycha“ jest prawdą wobec formalno-ideologicznego mechanizmu polityki polskiej na progu wojny, prawdą wobec ogólnej sytuacji w jej ostatnich dniach. Tzw. wachlarz przekonań i sprawa udziału w rządach, oto sytuacja polityczna tej powieści. Szczególnie interesująca, jeśli chodzi o pewne zjawiska przejściowe.

Wskazmy te przejścia chociażby na postaci Jelskiego. Ów dobrze zapowiadający się urzędnik należy do ludzi krojących swoją karierę według intelektualnej przydatności do obranego fachu. „W jego epoce nie powtórzy się typ ministra nie „comme il faut“ — marzy. — Ani przedmajowy minister łątka, ani pomajowy minister bandyta i grubianin“. Istnieje niepisane sprzyżenie tych, jak myśli o nich Jaszczka, „lunatyków od sekretów stanu“; byle się wybić drogą pragmatyki urzędniczej; szczebel wyżej osiągnięty przez jednego z nich oznacza zwycięstwo dla pozostałych. Ale régime jest bezideowy. I tu znów zmartwienie dla Jelskiego: „czy im to on się, bywało, nie czuł powinowatym. Kum na cncrcinach najróżniejszych ruchów, przyjaciel domu tylu idei, choć z żadną się nie zżył“. Zmartwienie, które przy flirtach nieco dłuższych, na przykład z „narodowcami“, przeraża się w nieporozumienia trudne do rozwikłania, jak to z Saciem, uważającym Jelskiego za swojego człowieka. Inne kumoterstwo z urzędu odbije się Jelskiemu w dyskusji z kapitanem Kozicem; jest nim znajomość z drugim Dykiertem. „Rząd wtedy wziął się na lewo. Więc Jelski i jego koledzy zaczęli macać lewy brzeg“.

Ale te przejścia i ogniwa, które sprawiają, że w obrębie „Murów Jerycha“ nie wiadomo kiedy poprzez kontakty w zamkniętym kręgu ludzi, przechodzimy od komunisty Fryszka do „wodza“ Papaty, one to są bardziej znamienne dla Polski przedwojennej aniżeli powieść, która by stawiła zdecydowaną tezę. Tak więc przytamt, przez który Breza spoziera — patrycjat, ministeriat, formy gry politycznej —

skorzystać. Bo ten sam przypadek odsłonił mu całkiem niespodziewane oblicze psychiczne wojewody. Gdzieś na wsi Czarski ratuje życie młodemu chłopakowi tonącemu na stawie pokrytym łańcuchem lodem. Czyni to narażając własne życie. Kiedy skoczywszy na ratunek ściągnął futro i marynarkę, czekając na brzegu Sać znalazł nareszcie w prywatnym notesie wojewody źródło jego dochodów: blisko milion zaczerpnięty z firmy prowadzącej odwodnienie Polesia. Ale z prawdy zdobytej w takiej sytuacji Sać nie chce, nie może skorzystać. Czy wytrwa — dowiemy się w dalszych tomach.

Omówiona sytuacja jest przykładowa dla metody Brezy. Sprawa skończenie polityczna, pozbawiona jednakowoż jakiegokolwiek schematyzacji psychologicznej. Bo i Czarski dlatego, rzekomo, skoczył ratować, ponieważ chwilę przedtem przygadał miejscowemu proboszczowi, skarżącemu się na zimowych topielców. Bo księdzu pogrzeby odpadają. „Niech ma swojego nieboszczyka... Żaby go miały chować, to już lepiej im, bo ten chłopiec coś mi bardzo licho. Zapalenie płuc czeka“. W ten sposób Breza postępuje zawsze. Obchodzi go głównie ludzkie, zwyczajne czy niezwykłe motywy czynów politycznych. Era zawiści, ambicji, próżności, miłości, obchodzi go sumowanie się motywów pochodzących z różnych źródeł. Nigdy prawdopodobieństwa postaci nie poświęca na rzecz prawdopodobieństwa sytuacji. Nigdy nie upraszcza ludzi do tych wymiarów, jakie wystarczą, by z przeciwnictwa interesów i poglądów wyłaniał się problem polityczny możliwy do rozcięcia tylko w walce.

Dlatego to „Mury Jerycha“ nie tyle są powieścią o sprawach politycznych, ile o ludziach uprawiających politykę. Nie tyle powieścią polityczną, ile powieścią o polityce. Kto by w tej książce szukał miejsc, w jakich życie polityki styka się z codziennym życiem prostego człowieka, a ileż takich scen mamy u Kadena, ten ich nie znajdzie. Powieść Brezy napisana jest, żeby tak powiedzieć, **odgórnie**. Kto natomiast będzie szukał, jak się aranżuje określone akcje polityczne, jak niespodziewane motywy dają początek decyzjom tego typu (np. Jaszczka a majątek Medekszów, paszport Kostopolskiego), ten widowisko podobne znajdzie w „Murach Jerycha“ w wydaniu ze wszech miar interesującym. Widowisko umieszczone w środowisku również odgórnym — Warszawa. Najbardziej wybredny patrycjat tego miasta, no i jego „ministrat“ na progu wojny. Środowisko dośyć wąskie, a jeżeli ta jego wąskość nie umniejsza myślowej i politycznej skali powieści, jest to „astaga ujęć, o których będzie jeszcze mowa.

NA POZĄTKU BYŁ GRYWAŁD

„Mury Jerycha“ to powieść o polityce z akcentami położonymi na motywach psychologicznych. Zatem powieść psychologizująca,

jest dokładnie zamknięty, ale obraz ujrany przez ten pryzmat bynajmniej nie jest ciasny. Posiada ten obraz coś z balzakowskiej wierności wobec środowiska: nie piszą balzakowski w sensie wartościującym, ale w tym znaczeniu, że u Balzaka, przez jaki by nie patrzeć pryzmat otoczenia i wątków powieściowych, zawsze otrzymujemy tę samą, szeroką wierność środowisku. Nie ma szkielec, które byłoby zdolne zamazać ten obraz. Stąd też i wątki treściowe nie po to są u Brezy namotane, ażeby je prowadzić wszystkie równomiernie i dramatycznie przecinać, lecz temu służą, że samą swoją obecnością charakteryzują środowisko. Nie uważam np., ażeby była konieczną dokładną odpowiedź, czy Jelski wyrobił Kostopolskiemu paszport zagraniczny czy też nie, wystarczy tylko obecność tego ministra, katastrofisty, na zebraniu zlocie.

ZAMULONE KONTA I TRESOWANE ŁZY

Chociaż umieszczona wśród zjawisk chwiejnych i przejściowych, powieść Brezy czyni wrażenie utworu bardzo jednolitego i dojrzałego. Dlatego zapewne, ponieważ sztuka pisarska Brezy zestrojona jest przedewszystkim z obserwacją tych zjawisk przejściowych i niespodziewanych. Oddaje je pisarz za pośrednictwem bogatego zespołu chwytów bardzo intelektualnych, obserwacji powziętych raczej ze świadomości umiejętności nazywania zjawisk aniżeli jakiegos bezpośredniego, zmysłowego ich dostrzegania. Prześledzimy tę sztukę od czysto leksykalnej warstwy wyrazu poczynając aż po sposoby konstruowania sytuacji i postaci.

W stylu Brezy najbardziej uderza jego wynalazczość słowna. Jest to wynalazczość **znaczeniowa-kontekstowa**, że tak powiem. Breza nie jest szperaczem słownikowym wyszukującym jak sroka rzadkie okazy słów i inkrustrującym nimi tok swojej prozy. Takie postępowanie, jeżeli chodzi o dzisiejszą prozę, rodem głównie z Żeromskiego, należy właściwie do erudycji a nie do sztuki. Nie sądzę, by szpikowanie znaleziskami z Lindego dowodziło naprawdę wycucia stylistycznego. U Brezy słów-dziwadeł, słów-upiorów, powołanych do życia z kart słowników nie napotykalmy zupełnie. Cały jego zasób leksykalny mieści się w ramach obecnej polszczyzny inteligentnej, a przecież coraz zaskakuje świeżością i niespodzianką. Metoda Brezy jest najprostsza z prostych. Polega na tym, by słowa znane umieszczać w nowym kontekście znaczeniowym. Dzieje się to na wszelkich szczeblach opracowania artystycznego. Dotyczy całych zespołów zdań, dotyczy słów branych w pojedynkę, które nagle wstawione w nową sytuację dziwią się swojemu otoczeniu.

„Sala w zadymce papierosów, rechot nieprzerwany „kilkusek” tust i muzyka, która na nic nie zważa, trzaska jak z bicia, wałac naprzód. Co wieczór tłum jest tak ciasno ubity, że nie znać nawet szlaków dla służby”. Cóż banalnieszego w opisie przyrody, jak te trzy terminy: zadymka, rechot, szlak — jakżeż inaczej grają one swymi znaczeniami w tym zespole. „Wasz grunt psychiczny jest przepuszczalny” — powie Medeksa o młodych i ta trafność w rozmieszczeniu wiejskich, z gospodarstwa i przyrody branych słów jest zjawiskiem, które najbardziej uderza u Brezy. Trafność w ich zastosowaniu do spraw całkowicie ludzkich, psychologicznych. Kapitan Kozic czesze zmierzwiłone włosy: „Twardy, zwichrzony porost, traktowany tak grubym grzebieniem nie chciał przywarować”. Łzy pani Dykiertowej „znały swoje miejsce i czas, a mimo że takie wytresowane, zawsze szczerze”. Ktoś szuka pieniędzy daremnie — „z dna skórzanego nie mogła ich wylać”. W starym wnętrzu mieszczańskim „kotary... przy których frędzle osmyczył czas”. Sianos jeszcze się nie dorobił: „konta w bankach nie zamuliły się zapasami”.

Można by zestawiać całą litanie tych powieści, zawsze trafnych i oryginalnych. By dowieść, że nie tylko wśród terminów dworskich Breza tak zreszcie gospodaruje, taka jeszcze garść przykładów. Ktoś tam „wgałdał się w sprawy ruchu”. Obraz namalowany jest „zbiegowiskiem rozmaitych kolorów”. Ktoś inny to „ukryty narodowiec, coś kiedy nie-starannie”. Saciowi „sen ledwie z oczu zeszedł, przerzucą mu się na słuch”. I tak dalej, tak dalej. W znakomitej większości wypadków słowo postawione w nowym kontekście ociera się o dowcip, rzadko kiedy zatracą dziwactwem, czy pomyłką.

W poprzednim 30 (87) numerze „Odrodzenia” z dnia 23 lipca: Nagroda „Odrodzenia”. — Wacław Kubacki: Sny o industrializacji i odwiecie. (Głosy z przeszłości). — Stanisław A. Majewski: Pax Britannica. Powojenna sytuacja międzynarodowa widziana z wysp brytyjskich. — Malarstwo francuskie (Pignon). — Tadeusz Hanuszek: Praca. — Kazimierz Wyka: Traktat o losie i duszy. — Z Ogólnopolskiego Salonu w Warszawie (Adam Marczyński). — Stanisław Pięta: Pizemarski Rosjan. Pamięci umarłej w rok po rozstaniu. — Tadeusz Pelper: Młodzi postępowcy. Romeo i Julia. Z powodu spektaklu w teatrze kujbyszewskim (1942). — Z baletu Mojsejewa (rys. Jadwiga Mziarska). — Stefan Papie: Młodzi natyrycyści mówią o swym życiu i pracy. — Julian Przybó: Temat malarski. — W pracowniach pisarzy i uczonych. Ankieta „Odrodzenia”. (Leon Bahtski, Stanisław Bac, Henryk Batowski, Witold Jabłbecki, Tadeusz Kurkiewicz, Michał Mossozowa, Antoni Peretiatkowicz, Stefan Wierczyński, Jolita Zabierawska-Zelechowska). — J. S. „Władzomach” londyński. — Zdzisław Hierowski: O pisarzach śląskich. — Jaszcz: Dwa nurty dwa oblicza. Korespondencja (Wanda Marzewska, Józef Sieradzki). — Jaszcz: Przegląd pracy. — hem: Poezja i proza. — Wacław Kubacki: W „Białej sali” wojewódzkiej. — Kronika Ilustrowana. — Aleksander Osowski: W walce z Niemcami. — J. S. Polska współczesna. — Julian Przybó: Płona róża! — J. S. Kronika kulturalna ZSRR. — 8 ilustracji. — 12 stron.

Nie mniejszy wysiłek stylistyczny idzie u Brezy w kierunku składni. Jeżeli zaś częściej zawodzi, aniżeli przy słowach pojedynczych, powód jest niezależny od pisarza. Zgorszony ojciec Dykierta pyta Jelskiego: „Gdzie on to, panie, złapał... ten komunizm?” Jest w takim sformułowaniu składniowym zawarty od razu cały sąd starego Dykierta o światopoglądzie syna. O broniącej się przed upadkiem dziewczynce Breza nie powie, że łapie równowagę, ale że „biegnie z rękoma chwytającymi z powietrza równowagę”. Tym prostym przesunięciem czyni z równowagi coś materialnego, uchwytanego. Tak samo wentylator „klekocąc mieniła na siebie dwa powietrza, to z komórki na to ze dworu”. Dykiert w latach szkolnych „zaszywał się na ostatniej ławie”. Stronicami można cytować.

Niewątpliwie częste w tej kategorii potknięcia tłumaczą się dążeniem do skrótu, nadmierem elipsą członów składniowych. „Tłum przedziej zjesz w kaszy zupełnym głupstwem niż wielkim rozumem” powiada Dylał, ale i głupstwo i rozum nie zastąpią w tym zdaniu łyżki. „Na dłużej nie widzę panią pod Paparą” woła ktoś o Medekszańce, a to tylko chodzi o przezwidywanie ideowe. „A! — wykrzyknęła Krystyna i objęła pokój od sufitu do podłogi jakby ścigając oczami spadający meteor”. Krystyna Medekszanka mimo to nie była kolejką linową.

Dajmy spokój wycieciom, Potknięcia bowiem składniowe, które nadają stylowi Brezy nieco barokowego wyglądu, nie zmierzają do tego wyglądu. Przeciwnie niż u Kadena. Są one tylko opłatą, jaką po drodze do wynalazczej prostoty Breza płaci. Opłatą szukania i eksperymentu, bez jakich nie masz nowego stylu, a w swoim pokoleniu Breza jest niewątpliwie tym, który najbardziej nowego stylu poszukuje. Również winą za deformacje składniowe nie obciążamy wyłącznie jego konta. Porostu przemiany składniowe należą do konwencji gramatycznych tak uściślonych dzięki ich zbiorowemu używaniu, że nie poddają się one przemianom indywidualnym. Inaczej słowa pojedyncze — te poddają się bardziej. Kępa jest najczęściej kępą drzew. Ale jeśli Breza powie, że ktoś w salonie podchodzi do kępy ludzi — w porządku; jeśli ktoś inny napisze, że schował palce w kępę włosów na głowie, też w porządku. Jeżeli jednak mówimy stale... „dawał list komuś”, nie ma pisarza, który by sprawił swoim piśnieniem, żebyśmy zaczęli mówić — „dawał list z kimś”. Trafne wyznaczniki składniowe i tak bywają niepowtarzalne jak ten, gdy zamiast **podziwiający** Norwid zawoła: „Grecjo, twe **dziwiąc** ramiona z marmuru”.

„ŻYCIE DANO NAM W DOŻYWCIE”

Ten tok intelektualnej niespodzianki oraz sprawnego łączenia skojarzeń i pojęć dalekich od siebie jest w ogóle znamię stylu Brezy na jego każdej kondygnacji. Za pośrednictwem nieoczekiwania a intelektualnie spiętrzonej skojarzeń Breza w ogóle przedstawia rzeczywistość. Szczególnie jest ważny ten z aspektów owych skojarzeń, który sprawia, że „Mury Jerycha”, mimo wąskiego pryzmatu, otwierają co chwila perspektywy szersze. Breza posiada w wysokim stopniu coś, co by można nazwać umiejętnością **skrótu socjologicznego**. W rozmowach, na marginesach sytuacji padają co chwila sformułowania bardzo niebanalne w swojej wartości myślowej, oryginalne i dowcipne w umiejętności ich wyrażenia. Jesteśmy np. przy rodzinie Dykiertów: „Dostatek, tradycja, krew, pół na pół na wsł i w mieście i to na jakich stanowiskach! W trybunach, w magistracie, w kurii, w towarzystwach kredytowych. Nie ma dla takich zmian rządu. Szanowni panowie od lat. Mieszczańska konserwa. Każdy z nich łożyl, dawał, popierał. Zawsze we wszystkim zajął obywatelskie stanowisko, uczynny, nieodzowny w każdym Komitecie pożyczki czy uczczenia; koniec końcem, umierał na koszt miasta, uniwersytetu czy państwa. A brat takiego, to ma wieść! A jak nie brat, to kuzyn. Wielki dwór gdzieś na Litwie czy Galicji, czasem bliżej, ogrodowy folwarczek pod Warszawą”.

A oto formuła urzędowego obłaskawiania niebezpiecznych ruchów ideowych: „Poznać, podpatrzyć tę doktrynę. Najlepszych z ruchu wziąć. Z tej branki porobić urzędników. Państwu trochę czuba poczerwień. Podjąć hasła. Dostosować. Potem przyrzęźać! Do pism rządowych, trochę do okólników. Homeopatycznie przeprowadzić rewolucję”. Nie policzysz w powieści Brezy skrótów tego typu i one to poszerzają horyzont powieści. Ta umiejętność łączy się ściśle z inną, mianowicie ze znamienym dla Brezy łączeniem spraw i obserwacji, które nagle w zestawieniu poczynają jasnieć świetnością intelektualną. „Wódz to słowo, które nie ma strony biernej”. O kobiecie zbyt zwyczajnej, w swoim typie piękności: „Teoria bardzo pięknego ciała, nie żaden jakiś szczególny wypadek”.

Takie postępowanie nadaje stylowi Brezy aforyzmiczne zacięcie i sprawia, że jego powierzczenia lśni co chwila wtopionymi w nią kryształkami, które błyskają olśniewając myśl i oczy Tym więcej, że w tym właśnie kierunku zmierza znaczna część świadomego wysiłku stylistycznego pisarza. Breza dąży do tego, by jego sformułowania były możliwie wyraziste intelektualnie i równocześnie możliwe konkretne. Osiąga to na dwa sposoby: przede wszystkim ulubionym jego chwytem jest zestawienie pewnej sytuacji psychologicznej z sytuacją całkiem inną w treści, a podobną

formalnie, zestawianie w formie porównań.

Cytaty objaśnia, co mam na myśli: Sianos zwierza się Kostopolskiemu: „Tak zdradzać się ze swoich braków może młody poeta przed krytykami, który obudził jego zaufanie”. Bołdarzewski o swojej klasie społecznej: „Powiadał mieszczaństwo, ale na myśli miał inne słowo, przed którym się trochę wzdragał, jak niekiedy snob przed tytułowanym. Patrycja!” Pani Dykiertowa: „chodź! na pogrzeby, niczym abstynent na popijawę dla towarzystwa, nie biorąc w ogóle pod uwagę katafalki”. Sztetler w przystępie pasji: „On by ją obdarł z sukni, z włosów, ze skóry, żeby choć w tych walorach odpytać swoje. Na szczęście ręce Sztetlera, jak służba przytomniejsza od pana, ledwo tylko znakiem wykonały, co niósł w sobie rozkaz jego wściekłości... Spadł rękami na ramiona Drefczyńskiej”. Tym zespołem porównań i skojarzeń branych ze sfery czysto psychologicznej Breza posługuje się stale, nadając swemu stylowi bardzo humanistyczny wygląd.

Nie mniej oryginalne wyniki daje dążenie do konkretności. „Jeżeli władze mają wypuścić ze strachu, to straszcy ich całym naszym przeciwieństwem. Na biurko najechać wozem drabiniastym, z piórem złożyć się pałką” — powiada gdzieś jeden z „narodowców”. Takich najazdów pojęć i takich pojedynczych słów u Brezy jest pełno. Równoważą one sformułowania ograniczone tylko do postępowania ludzkich, oraz sprawdzalnym obrazem ukonkretniają styl. Bołdarzewski wybiera się do Sztetlerów: „jego większość psychiczna była za tym, żeby pójść, ale mniejszość chwytala w nim za koka”. O rysunkach Stryżewskiej: „wszystko w liniach sztywne jak skrzyp. chociaż to taniec”. Ania Szmółczanka miała poprawkę z łaciny: „Lato było wtedy takie piękne, jednak całkiem nie dla niej, wciąż z tą plamką na oku”.

W obydwu tych kierunkach intuicja artystyczna Brezy w większości zwycięża. Zwycięza jednak po wielu próbach i szukaniach, których ślady pozostały w „Murach Jerycha”. Seria tych chwytów, od niewątpliwie doskonałych przechodzi przez wątpliwe aż do rozmiągających się ze swoim zamiarem. Przecodzi zarówno przy kojarzeniu konkretności, jak postępowania ludzkich. Oto np. obserwacja na temat grobowca w Wolczynie: „Kwatery jedną po drugiej zajmowali tam księżęta, wsuwani jak chleby w piec, wszyscy stopami zwróceniu ku krągłemu środkowi krypty, róża kierunków niby dziewczyny na zamorskich wybrzeżach dla zabawy ułożone w wieniec”. Te dziewczęta z plaż kalifornijskich naprawdę nie zasłużyły na zaszczyt sąsiadowania z Czartoryskimi nawet w porównaniu, a takich niezasłużonych zaszczytów jest w „Murach Jerycha” więcej. „Już sam nie wiedział, czy mu się któryś nie majączy, niczym ojciec nad dojrzałym dziełem snia pełen z wrażenia różnych dawnych jego słów, spostrzeżeń czy niemowlęcych kresek na papierze, gdzie choć żadnej z nich na dowód nie podsuwa mu wspomnienie, coś już tam zdaje się teraz przeblyskiwać”. Takim zwrotem próbuje Breza przybliżyć wysiłki pamięci Medekszy pragnącego wyobrazić sobie gwałtem któregoś z rzeźbiarzy średniowiecznych. Próba daremna i nie jedyna w tym gatunku.

Sądzę więc, że nie będę złym doradcą dla autora „Murów Jerycha” wnioskując na podstawie tych zestawień, że jego dalsza praca nad stylem powinna polegać na karczowaniu przesadnej subtelności i rozsadzaniu ścisłego intelektualnie, konkretnego werbalnie zespołu skojarzeń. Słowa zaś, które położyłem w tytulu, pochodzą z monologu wewnętrznego Kostopolskiego. Zastanawiając się nad prawem człowieka do samobójstwa powiada on: „Życie dano nam w dożywocie. Są więc takie spekulacje, których się nie da na nim przeprowadzić”.

AFORYZMY KOZICA I ŻALE SZTEMLERA

Sztuka intelektualnej niespodzianki uczestniczy również w budowie postaci powieściowej u Brezy. Postać tę konstruuje Breza, nie odrzucając żadnego z klasycznych chwytów powieściowych. Kolejność ich użycia poznamy najlepiej przypominając galerię osób, która się przewija na przyjęciu u Sztetlerów. Każda z tych postaci: Bołdarzewski, Skirliński, Turzycki, Motycz, Sztetler, Dykiert — składa najpierw swój najbardziej utajony biulet wizytowy; najpierw na kilku stronach monolog wewnętrzny postaci, później rozmowa, później jeszcze sądy o danym człowieku. Breza posiada niewątpliwie wysoką umiejętność odtworzenia tego monologu. Kiedy sięga w sferę motywów i myśli właściwych tylko danej osobie, nie sprowadza ich do kilku powtarzających się reakcji. Dno dusz ludzkich jest u niego różne. To dno nie jest również rozdrobnione na ułamki psychiczne, pozbawione wzajemnych kontaktów. Breza przeszedł przez szkołę bezwzględnie psychologicznego, ale na naukach tej szkoły nie poprzestął, poszedł dalej. Po monologu wewnętrznym Sztetlera (str. 193—6) prozę przeczytać monolog Sacia (str. 261—3); jak te stronic stawią od razu gotową postać.

Dzieje się tak, mimo że Breza nawet we wnętrzu nie przestaje postaciom towarzyszyć w sposób dowcipny i intelektualny. Sztetler nie lubi niepotrzebnie wydawać i jakżeż go boli widok przyjęcia: „Každy kęs, każdy łyk, który ginął w gardle gościa, szedł dlań osobnym konduktem. Odprowadzał wzrokiem pie-

niąd, który w indyka, w pasztet wcielił. Oto kilka złotych po raz drugi przepada, poświęconych na tę warstewkę kawioru na kanapce, więc najpierw w oderwaniu, kiedy postawił nad nim krzyż, a teraz na nowo, na żywo przeciąga przed jego oczami w widowisku utraty. Consummatum est! Ale nie! Gość przegrył przez pół, odkłada resztę, by odpowiedzieć bo ktoś zagadał. I już zapomni! I ponownie Sztetlera nachodzi żal. Trzeci! Nie pójdzcie na żadne dziwactwa. Lecz przeczuj, co to za ulgę znajdować musi istota jemu podobna zbierając resztki”.

Tak nasycony intelektualnie monolog, zwłaszcza, gdy się powtarza u wielu postaci, nadaje im wspólne piętno. Lecz nie tylko to uczestnictwo pisarza upodabnia owych ludzi. Upodabnia ich również to, że wszyscy doskonalnie rozmawiają, w dowcipny i niespodziewany sposób umiemy formułować swoje spostrzeżenia; aforyzmy przychodzą im bez najmniejszej trudności; do rozmów pełnych aluzji, tyle tykających się przedmiotem co przelot jaskółki zwierciadła wody, zdolni są o każdej porze. U większości tych ludzi to nie dziwi: są ministrami, artystami, uczonymi. Ale pomimo znacznego prawdopodobieństwa tej sztuki konwersacyjnej rychło dostrzegamy, że są nią obdarzone osoby do niej nieuprawnione i to w sytuacjach sprzecznych z założeniem pisarza.

Taki np. kapitan Kozic. W zamierzeniu Brezy nie ma on być kimś szczególnie ciekawym. „Szarczkowy oficer” myśli o nim Jelski. Tymczasem jakie aforyzmy ów Kozic wygłasza: „Historia, to dobre dla magistratu. Na nazwy dla nowych ulic”. Jak wybornie charakteryzuje on typ ludzki Jelskiego i jego przyjaciół. Jak sprawnie i błyskotliwie toczy się kłótnia starych Dykiertów. Jak dowcipnie przemawia ośmieszany przez autora Bołdarzewski. Ile aforyzmów w ustach tępawego Jaszcy. Jakież złośliwy jest w potrzebie niepewny siebie Sać: „Ot! poseł Dukat nazbierał materiału do interpelacji, otrzymuje teraz siedemset złotych miesięcznie. Drugi podobnie wziął wodę w usta. Ten za trzysta. I dostaje resztę roku prawda mu się na usta tak nie pcha”. Sztuka prowadzenia rozmowy i ostrego formułowania swoich przeżyć wewnętrznych jest zatem czynnym więcej aniżeli realistycznym, zaobserwowana przez pisarza właściwością ludzi w określonym środowisku. Należy do rzędu innych zjawisk artystycznych. U wszystkich rasowców powieściopisarzy postaci, chociaż wyodrębnione psychologicznie i różne w fundamentach swoich charakterów, noszą jakieś znanie wspólne, które je upodabnia. To znanie mieści się u Brezy przede wszystkim w sferze rozmowy.

„Mury Jerycha” to niewątpliwie najbardziej humanistyczna i najbardziej ludzka powieść wydana po odzyskaniu niepodległości. Kładąc przymiotnik humanistyczny, nie mam na myśli światopoglądu. Pisząc ludzka, nie przypisuję książce Brezy jakiegos szczególnie uwrażliwionego stosunku do człowieka. Humanistyczny i ludzki oznaczają tutaj jedynie materiały, z którego zbudowany jest arcytm powieściowy Brezy. I zarazem dzięki takiej postawie jest to książka bodaj czy nie najbardziej europejska w dorobku powojennym. Pisząc europejska, nie naklejam na „Mury Jerycha” snobistycznej etykiety pokrytej wiadomym ornamentem znaczeniowym, ale po prostu stwierdzam, że powieść Brezy opiera się na współgraniu elementów artystycznych, które w Europie (na zachód i wschód od nas) już dawno stały się kanonem powieści, a w Polsce jeszcze ciągle i dopiero się nim stają. Brak opisywactwa, brak rozpanoszonego u nas krajobrazu, brak sentymentalizmu myślowego czy uczuciowego, oto główne elementy tego kanonu całkowicie zrealizowane w „Murach Jerycha”.

Na tomy, które mają nastąpić, czekamy z pełną ciekawością. Wtedy bowiem będziemy mogli umieścić cykl Brezy na linii rozwojowej polskiej powieści politycznej.

Kazimierz Wyka

Bezstronny głos rzetelnie myślącego Anglika, odsłaniający kulisy polityki angielskiej konserwy

K. ZILLIACUS

poseł do parlamentu angielskiego, członek Partii Pracy

Między dwiema wojnami

Oto tytuły niektórych rozdziałów:

Jak otumaniono świat pracy?

Jak wyszukan Wilsona?

Napaść na demokrację hiszpańską

Już wkrótce na półkach księgarskich.

TERESA WIONCZEK-CZARKOWSKA

Początki życia

Gabriela biegnie niespokojnie po piwnicy swego domu, po schronach sąsiednich i nie widzi dla siebie spokojnego kąta. Mój Boże, jakże pozbawione sensu jest wszelkie robienie planów! Na co zdać się remont gabinetu przeznaczony na pokój dziecięcy — przerażało się drzwi, okapy za oknami, przestawiało się pisać, a teraz, po dwu tygodniach powstania, trudno ustalić miejsce, gdzie znajdowało się mieszkanie Gabrieli i gdzie był dziecięcy pokój. Połową swojej istoty zachowuje się rozsądnie. Nosi wiadra wody na dachy płonących domów, uspokaja rozhisteryzowane sąsiadki i nie rozstaje się z pakunkiem, w którym wyniosła część wyprawki dziecka. Pomyślała o nim przede wszystkim wtedy, kiedy zasypał ją tynk i deski ciśnięte prądem powietrza pędzonego pociskiem z moździerza. Była wtedy na pierwszym piętrze obcego domu — przeleciała jej przed oczyma płomienna jasność, po której nagle zrobiło się czarno, chociaż była jedenasta rano. Ziemia zatrzęsała się pod nogami i trzasnęło ogłuszającym hukiem. Gabriela pomacawszy się zdrowymi rękami uznała, że żyje i zatroskała się o te właśnie, dziecięce manatki. Jakże tu rodzic, kiedy bomby przebijają stropy piwnicy?

Gabriela przeczytała śmieszna notatkę w „Biuletynie“ („Biuletyn“ przychodzi ze Śródmieścia nieregularnie i tylko w pojedynczych egzemplarzach), że wzywa się społeczeństwo do przyniesienia kwiatów rannym w wojskowych szpitalach. Kiwa głową nad tą notatką. Jeżeli tam mogą myśleć o uprzyjemnianiu czasu chorym, musi być u nich nadzieja. Bo na Starym Mieście ranni leżą w kościołach i na dziedzińcach; na noszach, rzadko na łózkach, często na garstce słomy, albo na gołej ziemi. Nie nadszły się ich myśli. Kiedyś litościwa ręka podsunęła garść kostek cukru martwemu dziecku — nie było czasu na dokładne oględziny, na sprawdzania. Lekarze padają z przemęczenia.

Na podwórzu, podczas ciszy po jedenastym z kolei nalocie, Gabriela spotyka znajomego lekarza. Zostawił na Żoliborzu rodzinę: żonę i dwie małe córeczki. Tłumaczy, że nie chce uciekać z posterunku, że zobowiązuje się powrócić na Stare Miasto, ale niech mu pozwolą raz jeszcze ucałować dzieci, może to ostatni raz w życiu. Lekarz ma oczy krwią nabiegłe, musiał od kilku dni zapijać się spirytusem aptekarskim. Czy Gabriela nie zna tu kogoś w dowództwie łączności? Lekarzom nie dają urlopów nawet dwudziestoczworgodzinnych. Jeśli mu pomoże, odwiedzimy się jej. Jest ginekologiem. Dwadzieścia lat prowadził klinię położniczą w Toruniu. Niech Gabriela postara się o dwudziestoczworgodzinną przepustkę dla niego i siebie na Żoliborz, a on już przeprowadzi w tym czasie rozwiązanie pod narkozą.

Gabriela postanawia dotrzeć do dowództwa łączności. Niech będzie, co chce. Nie ma sensu czekać na chwilę ciszy. W razie nalotu zdąży wbiec do schronu, przed „przesuwana szafa“ też potrafi się schować, a z szrapnelami i granatami będzie jak Gabrieli pisane. Kobieta ważąca siedemdziesiąt pięć kilogramów nie może zbyt zwinnie poruszać się na opuchniętych, zniekształconych nogach. Wiadomo, że nim zdąży zrobić wstępne poruszenie do „padnij“, przeznaczony jej pocisk utkwii w samym środku siedemdziesięciopięciokilowej bryły ciała.

Przechodzi spokojnie przez kilka przecznicy, przez podwórza, przez ruiny domów do wczoraj istniejących jeszcze. Potem idzie z parteru na drugie piętro w rurowym budynku z drugiego piętra do piwnicy, aż wreszcie staje przed obliczem kapitana Krystyny.

Kapitan Krystyna, komendantka kanałów, słucha sprawy Gabrieli. Oczywiście, o ile Gabriela sędzi, że u stryja na Żoliborzu będzie miała należytą opiekę, może iść do niego. A gdzie maż? Tego Gabriela nie wie. Teraz Gabriela prosi i tłumaczy, wstawia się za lekarzem. Kapitan Krystyna podnosi brwi do góry. Czegóż to jeszcze chcą od niej? Ale Gabriela nie ustępuje: prosi, tłumaczy, przekonuje. Wtedy kapitan Krystyna podpira piękną ręką piękną głowę i pyta, czy Gabriela zdaje sobie sprawę, a Gabriela twierdzi, że zdaje sobie sprawę. Na to komendantka kapitan Krystyna zakłada nogę na nogę — a obie nogi tkwią w świetnie skrojonych bryczesach — i pyta, czy Gabriela wie, a Gabriela mówi, że wie. I komendantka kapitan Krystyna nie spodziewanie godzi się. Już się żegnają. Komendantka kapitan Krystyna mówi jeszcze o garstach związających, trujących i duszących i o bombach w kanale i o tym, że Gabriela dostanie kulę w łeb, o ile zacznie w kanale krzyżać.

Ale Gabrieli tego jeszcze nie dosyć. Czy może zabrać z sobą wyprawkę dla dziecka i trochę mleka skondensowanego i mydła i oliwy i jeszcze nocną koszulę dla siebie? Tu Gabriela napotyka na nieugięty opór: nic a nic. Termin: jutro, godzina druga w nocy. I niech włoży palto, bo pójdzie z transportem rannych udających się na wypoczynek, nie muszą wieść dzieci, dlaczego z nimi idzie.

Kiedy nazajutrz wstępuje po lekarza, jest jeszcze dziwniejszy niż poprzednio. W wyła-

downym plecaku ma kostki cukru dla dzieci, a w ręku trzyma maleńską walizeczkę z zastrzykami, narzędziami dla Gabrieli na drogę, na wszelki wypadek. Wychodzi ze szpitala oknem, plecak wyniósł już wcześniej, a palto wyciąga ze stosu gruzów. „Może nie wróci — myśli Gabriela — i ja do tego przykładam rękę“. Ale już za późno na jakiegokolwiek zmiany.

Na miejscu zbiórki rozdzielają wszystkich na grupy, które mają czekać w wyznaczonych pokojach. Do Gabrieli przychodzi adiutantka komendantki. Kapitan Krystyna zaprasza Gabriela na filiżankę czarnej kawy. Gabriela idzie za nią ciemnymi korytarzami do pomieszczenia, w którym stoi pełno pótek z książkami. Pewnie była tam dawniej wypożyczalnia. Między półkami na podłodze leżą gęsto materace jeden obok drugiego. Zupełnie jak przedziały w pociągu. Gabriela siada na materacu w jednej z klatek, wypija zaofiarowaną kawę, kładzie się. Trzeba oszczędzać siły. Oswaja się z mrokiem i dostrzega jeszcze kilka osób leżących czy śpiących na materacach. Nim Gabriela zaśnie, słyszy, że za chwilę odbędzie się odprawa w sąsiednim pokoju. Drzwi od tego pokoju pozostają otwarte. Kiedy Gabriela budzi się, słyszy Roniec rozmowy.

Nie można przeprowadzić transportu rannych na Żoliborz. Poziom wody w kanale podniosł się — dochodzi do ramion. Niesposób dziś iść tamtędy.

Gabriela słucha. Pójdzie czy nie? Odprawa trwa dziwnie długo. Wreszcie oznajmia się czekającym na wymarsz, że transport na Żoliborz nie odejdzie. Żoliborskie przepustki ważne na Śródmieście. Towarzysz Gabrieli szedł do dzieci; do Śródmieścia nie ma po co chodzić. Żegnają się. Wraca do szpitala. Wracają jeszcze i inni, ale większość idzie. Gabriela nie ma wyboru. Siedzi na podłodze w pokoju, z którego za pół godziny wyruszą. Jest apatyczna i nie wie, czy warto się kłócić o lepsze miejsce.

Przewodnicy grup sprawdzają imienne listy. Ustawiają rannych w ogonku. Gabriele wyczytują trzecią. Adiutantka kapitana Krystyny pochyla się nad uchem przewodnika przez kilka chwil. Przewodnik powtarza nazwisko Gabrieli. Ma stanąć na przedzie. Połowa serca cieszy się — drugą połowę serca zachowuje zimną, odrętwiałą, obojętną, jest jej wszystko jedno.

Wśród kilkunastu osób poza Gabriela jest jeszcze jedna kobieta. Młoda, przystojna, prawie elegancka. Trzyma w rękach dwie walizy, wbrew przepisom. Adiutantka każe jej wystąpić i stawia warunek: albo walizy, albo przeprawa. Wolno mieć tylko niewielkie obciążenie na barkach, najwygodniej plecak. Ale kobieta wyjaśnia z opanowaniem, że właśnie ma rozkaz te walizy wręczyć komuś w Śródmieściu. Uzasadnienie zostaje przyjęte. Jedną walizę przydziela się niewidomemu żołnierzowi, który siedzi na wypoczynek bez obciążenia, drugą będzie niosta sama.

Gabriela żałuje, że tak skrupulatnie wypełniła obietnicę, że niczego z sobą nie zabierze — mogła chyba włosowy materacyk umocować sobie na plecach. W czym będzie trzymała dziecko? Długa poduszka, składająca się z materacyka i puchowej kołderki, ważyła nie więcej niż jeden kilogram. Niczego nie odmieni, nie warto przekłuiwać pęcherzyka wzbierającej apatii. Za stanikiem ma oprócz pudełka papierosów „egipskich“ dwie chusteczki do nosa, pieniądze, zegarek zdjęty z ręki, branzoletkę i wieczne pióro. Podnosi rękę do staniaka i medytuje, czyby nie zapalić papierosa. W Śródmieściu na pewno wszystkich do bród... kwiaty dla rannych... Zapala papierosa. Nie zdąży go wypalić w spokoju, bo właśnie ich grupa wyrusza.

Idą pod murami, starają się przejść niepostrzeżenie. Zebate cienie zakrywają ludzi od światła księżyca. Przechodzą mimo patroli: — hasło — odzew — nie zatrzymując się prawie. Strzelanina w nocy cichsza, nieregularna.

Biegną do wjazdu marsz! Na ukos przez plac, przez kupy gruzu, przez stosy walających się papierów i odpadków. — Na barykadzie przy zbiegu Długiej i Miodowej leży wśród śmieci kilka kolorowych Hitlerów. — U wjazdu sztuczna osłona z worków pełnych piasku. Wszyscy przysiadają na ziemi pod nią. Zaczyna się mozolne złażenie. Gabriela poprzedza przewodnik z rozpylaczem. Schodzi szybko, sprawnie. Potem sygnał, że może iść następny. Komendantka podaje Gabrieli rękę. Komendantka jest milcząca, skupiona, Gabriela siada na chodniku, spuszcza nogi na pierwszą kłamrę. Potem odwraca się. Prawa ręka. Lewa noga. Prawa noga. Lewa ręka. Błoto, mokro, wśród, mrok. Wreszcie dno. Teraz korytarzem w dół przed siebie. Pomiędzy nią a szybko płynącą wodą ściana z desek. Przesadza nogi przez tę ścianę i skacze w wodę. Nie czuje zimna ani strachu. Ale wyrasta teraz przed nią nowa ściana z desek, ukośna. Żle skoczyła, w niewłaściwym kierunku. (Nigdy nie dowiedziała się, skąd wzięła się ta druga ściana). Musi przeleżeć przez płot prawie jak ona wysoki... Jak to zrobić? Predko. Cofa się do pierwszej zapory i wdrapuje się na nią — trzymając się pierwszej

ściany przesuwając nogi ponad drugą. Ręce puszcza deski i siedemdziesiąt pięć kilo czołwieka wpada do wody na twarz. Nie wiadomo znowu dłaczego. Ale Gabriela jest wciąż spokojna i oszczędna w ruchach. Staje mocno. Daje dwa kroki naprzód. W tym miejscu do burzowca wpada wartkim prądem boczny ściek, toczący swoje wody o tyle wyżej od poziomu wody burzowca, że tworzy wodospad. Trzeba zmierzyć własne siły z siłą spadającej wody. Gabriela skupia całą energię walcząc z przeciwnym prądem i daje jeszcze dwa kroki. Nie doceniła przeciwnika. Znowu pada. Tym razem przewodnik z przekleństwem na ustach podnosi ją. Gabriela nie rozumie jego słów. Radzi jej powrót do domu. (Do jakiego domu?). Zapala latarkę w drodze wyjątku i oświetla jej węzeł linki. Gabriela przejmując drugi koniec linki z rąk przewodnika i idzie dalej sama.

Linka jest to określenie nadane przez przewodnika i komendantkę kanałów. Gabriela nie nazwałaby tego linką. Jest to bowiem ciąg powiązanych szmat, które w drodze zrywają się co jakiś czas. Wtedy ktoś z kolumny wali kułakiem w plecy poprzednika na znak, że trzeba „linkę“ naprawić. Na chwilę pochód staje, a przez ten czas przewodnik odsadza się o następnych dziesięć metrów od czoła.

Pierwsza część drogi jest najłatwiejsza. Jeśli pominąć milczeniem cztery następne wodospady i to, że woda sięga do bioder, resztę właściwości tego kanału można uznać za cechy dodatnie. Wnętrze kanału jest wnętrzem walca; nogi ślizgają się po dnie, na którym cienką warstwą ułożył się kał, czarny od pokładu węgla w filtrach. Powietrza jest sporo, oddycha się łatwo. Wyciągniętą ręką trudno dostać do sklepienia, ale zawsze można odzyskać zachwianą równowagę odbijając się ręką o bok cembrowiny. Co jakiś czas przewodnik sygnalizuje latarką „stop“. Wtedy czeka się na granaty, gazy, na kule przycazonego Niemca. Nowy znak latarką rozkazuje na przeżycie oczekiwania i zwiastuje wolną drogę. W pewnej chwili słychać krok niemieckiego oddziału. Dwa metry ponad głowami idących. Śpiewali? Śpiewali... Kto by to pomyślał, że ktoś gdzieś może w takiej chwili śpiewać. Marsz trwa i trwa.

Drugi etap jest bardziej przykry. Tam suwa się stopy nie po dnie, nie po powierzchni poziomej, ale prawie pionowej. Spód kanału jest miejscem przecięcia dwu płaszczyzn, dających ku górze pod tak ostrym kątem, że na wysokości pół metra rozbiegają się, nieznacznie tylko dając drogę chwilejnym i drżącym kolanom. Ściany uciekają sprzed rąk wymachujących dla uchwycenia równowagi, wkleśłym wygięciem. Dalej nieoczekiwanie przechodzą w linię łukowatego sklepienia. Tu nie można dosięgnąć bocznych ścian, za to dłoń oprzeć łatwo o górę. Woda opadła do kolan, co jest słabą rekompensatą za utratę oparcia dla niepewnych stóp. Dziw, że nikt nie przewrócił się. Idą już teraz równiej, jedno bliżej drugiego, wolną ręką macając poprzednika w nieprzeznaczonej ciemności. Czasem przewodnik zatrzymuje swoich ludzi, na których postoje przestały robić wrażenie. Gabriela stara się wczuć w położenie trzech niewidomych z ich grupy. Po co idą do Śródmieścia, czy im nie wszystko jedno? Widać nie było im jeszcze wszystko jedno. Wierzyli, nie traciли nadziei. Młodość lekceważąca niebezpieczeństwa skłonna jest do krańcowości; kleśki życiowe albo łamią zupełnie, albo hartują znakomicie. Trzej niewidomi żołnierze wierzyli w możliwość odzyskania wzroku. Jeden z nich mówił przed wyruszeniem: „Proszę mnie nie zaliczać do chorych. Jestem zupełnie zdrow. Straciłem tylko wzrok. Jestem silny i może przyda się na co moja pomoc“.

Kiedy z drugiego odcinka przechodzą w trzeci, ulicą nad ich głowami przejeżdżają czołgi. Trzeci odcinek jest najgorszy. Daje się we znaki Gabrieli. Pułap kanału zawieszony jest nisko, mniej niż o metr od dna. Raz po raz głową, albo wygiętym grzbietem uderza się o strop. Zsunęła jej się z głowy chustka. Wiedziała, że jej w ciemnościach nie znajdzie, nie ma po co zatrzymywać się. (Z chustki byłaby niezła pieluszka, albo dwie koszulki dla dziecka). Droga wlecze się w nieskończoność. Gabriela idzie z zamkniętymi oczami — i tak nie widać. Nagle wpada na przewodnika. Są już u dna wjazdu.

Nad okragłym otworem wylotu w świetle nastającego świtu stoi jakaś postać. Meżczyźni podają jej rękę, siadają na krawędzi, podkurczają nogi i stają na jezdni. Przed rozpoczęciem przeprawy poodejmowali spodnie, okrzęcili je sobie wokół szyi. (Z chustki byłaby na plecach. Teraz u celu stoja w brudnej białej, z umazanymi twarzami, ręce ich są czarne. Patrz po sobie bez uśmiechu, są zmęczeni. A jednak porządkują zablocone strzępy mundurów. Czują, że przyszli z innego świata, a ten, w którym są, jest bardziej niefrasobliwy i elegancki. Domyślają się, że w oszklonych domach, za firankami okien śpią w łózkach ludzie, którzy zmieniają dwa razy w tygodniu białe i pośliki ich przygotowywane są w czystych kuchniach. Kto wie, czy nie mają w wazonach świeżych kwiatów...)

Wdziewają tedy nogawice suchych spodni bez pospiechu. Rozważają, w jakim stopniu są tni od tych ze Śródmieścia i czy mimo suchych spodni nie tworzą rażącego kontrastu z otoczeniem. Rozmawiają skąpyimi słowami, przestępują z nogi na nogę, kiwają głowami nad przemokniętymi papierosami.

Gabriela wyszła pierwsza tuż za przewodnikiem. Odpieła agrafki, którymi umocniła podwinęte poły palta. Mokra, ciężka wełna uderzała po nogach i kępowała ruchy. Rzucała strzępy linki na asfalt. Po dokumentnym rozprostowaniu grzbietu wie, że nie potrafi nachylić się, a ponadto, że zawias stawów krzyżowo-biodrowych skrzypią, że odmawiają posłuszeństwa, że po prostu protestują. Warto by też zastanowić się nad tym, dokąd pójść.

Ulica Warecka wciąż jeszcze zabudowana po dawnemu. Nie tylko jest zabudowana, ale oszkleńnię stojących kamienic jest bez zarzutu. Barykada na Nowym Świecie przy zbiegu Ordynackiej i Wareckiej przedstawia się niepokojnie. Zadzziwiający przy niej napis: „Uwaga! Obstrzał!“ Po piekle Starego Miasta Gabriela nie wie, czy to nie żart, bo nikt nie strzela. Uznaje, że to jakiś dawny napis z pierwszych dni walk. Bo teraz jest cisza najdoskonalsza. Powinna była przewidzieć, że znajdzie tak czystą ulicę w Śródmieściu i to z malowanymi sztyldzikami, z czystymi wskazówkami informującymi o skróconych przejściach. Można było się tego spodziewać, po pamiętnej notatce w „Biuletynie“.

Parę minut przed piątą Gabriela wstaje i nie czekając na oficjalne pozwolenie idzie do miasta. Postanawia pójść do Teresy, bo mieszka najbliżej. Dom ich stoi niezmiennie przy wspaniałej ulicy Szpitalnej. Brama domu zamknięta. Gabriela pukaniem wywołuje z wnętrza wartownika. Pani z dziećmi wyjechała w przeddzień powstania na wieś, ale pan jest. W którym schronie? — A dlaczego miałby być w schronie, jest zwyczajnie u siebie w domu, na drugim piętrze, ale pewnie jeszcze śpi. Gabriela waha się tylko chwilę — jest przecież taka zmęczona. Puka do drzwi cichutko, potem głośniejsze, wreszcie łomocze z całych sił.

— Kto tam, do diabła?!

— Swój, niech pan otworzy.

Drzwi otwierają się niechętnie, nieufnie.

— Pani! Skąd pani się tu wzięła?

— Przyszłam do domu, ze Starego Miasta. Wiem, że Teresy nie ma, ale chciałam tylko odpocząć i umyć się.

Chwilą niezdecydowanego milczenia. Nieokreślony gest zaproszenia.

— Ale u nas nie ma wody. Na sąsiednim podwórzu jest, ale tylko na dole.

„Na Starym Mieście wody w bród — myśli Gabriela — mogłoby coś o tym powiedzieć topielcy, których pełne piwnice“.

— To nic — mówi — to tylko odpoczę.

Gabriela bierze gazetę ze stołu, kładzie część jej na stołku, część na podłogę pod nogi i siada. Ach, jak trudno jej usiąść. Zdejmuje z prawej nogi bandaż elastyczny, który w obecnym stanie na nic jej się nie przyda i kładzie go zwinięty na gazecie, na stołku przy sobie. Oczy gospodarza wymownie spoglądają na brudny gałgan, na nogi Gabrieli, na jej ręce i na brzuch. Gabriela chętnie położyłaby się, ale nie śmie zapytać. Na tapczanie czysta pościel. Pan domu przysiadł na posłaniu i zagaja rozmowę.

— A to dopiero.

Gabriela chce coś powiedzieć o swoim Starym Mieście, ale nie bardzo jej się to udaje.

— Nie chce pani chyba uchodzić za bohaterkę?

Nie, tego Gabriela nie chce.

— Czy napiłyby się pani kawy? Mam jeszcze trochę prawdziwej.

Gabriela marzy o filiżance gorącej kawy. Radioodbiornik na stoliku milczy. Gabriela pije małymi łykami, żeby na dłużej starczyło. Potem już nie ma na co czekać. Dziękuję. Wychodzi.

Idzie do Wandy na Hożę.

Droga okólna na Hożę jest skomplikowana. Idzie więc Szpitalną i Bracką do Widok, stamtąd bramami domów przechodzi w Aleję Jerolimską, które przebiega pod osłoną barykady, dalej bramami domów na Kruczą. Tam zaczyna się pierwszy odcinek drogi piwnicznej: piętro w dół, korytarzami z domu do domu i wychodzi schodami w górę na Żurawia, stamtąd na Wspólną. Teraz piwnicami z domu do domu do Hożej. Znowu piętro w dół, korytarz, piętro w górę, przechodnie podwórza, piętro w dół, korytarz, piętro w górę. Jest na Skorupki. Tu kawałek przechodzi na wierzbni. Teraz z jednej strony Marszałkowskiej na drugą trzeba przebiec tunelem pod jedną. Tunel z drugiej strony ma łączność z ulicą Poznańską. Trzeba okrążyć przez Wilczę, tam przejść na drugą stronę Poznańskiej do bloku przylegającego do Hożej. Znowu wielokrotnie da capo: podwórza, piętro w dół, korytarz, piętro w górę, podwórza. A na wszystkich podwórzach ludzi pełno, jać się wesoło, gadatliwi, śpieszący się, a stojący w miejscu. Gabriela idzie i idzie, czasem od-

pedza lekliwe myśli: „Jak długo to jeszcze potrwa?“ i „czy wytrzymam?“ i dalsze „czy dziecku nie zaszkodzi?“ Aż dzieli ją od tego domu jeden tylko dom. Łąduje w piwnicy, gdzie spotyka gospodynię Wandy. Wandy nie ma. Właśnie gospodyni myślała, że Wanda jest u Gabrieli. „Bez tych telefonów, pani wie“. Gabriela stoi ostupiała. Gospodyni mówi długo i kwieciste, aż wreszcie proponuje Gabrieli, żeby sobie wzięła z pokoju przyjaciółki czego jej trzeba, teraz, kiedy nie wiadomo czy biedaczka żyje..

Gabriela idzie na trzecie piętro, myje się bez spodziewanego efektu, może naftę znajdzie, ale „później poszukam nafty“ — myśli i kładzie się do łóżka Wandy. Wstaje po południu. Z krzyżem stało się coś dziwnego, nogi jak w gipsowych bandażach, Gabriela posuwa się naprzód z szybkością pośrednią między szybkością żółwia a szybkością ślimaka. Kładzie na siebie czystą bieliznę Wandy i jej suknie — suknie jest za długa i za wąska.

Zjada surowy makaron, znaleziony w szufladzie i popija bardzo słodką herbatą. Idzie znów spać. Nad Śródmieściem wciąż jeszcze leży cisza.

Rano nie potrafi wstać z łóżka. Próbuje na różne sposoby, ale nogi nie funkcjonują. Wreszcie po pół godzinie duch zwycięża nad materią i Gabriela wypaliwszy papierosa idzie na Powiśle. W wężełku ma trochę bielizny, maki i kaszy. Znowu piwnice, schody, tunele, schody, podwórza, schody, korytarze, schody, schody, schody.

Na Powiśle trafia do kliniki bez błędzenia. Przyjmuje ją jakaś kobieta z białymi pasmami włosów wśród czarnych. Gabriela wyklada swoją sprawę. Oczy tamtej rozjaśnia dobry uśmiech.

— Jak to dobrze, że wreszcie mogę mówić z kimś ze Starówki. Mam tam syna. Czy nie zna go pani przypadkiem? Ma dopiero osiemnaście lat, wysoki blondyn o marzących oczach. Jest w grupie „chłopców“. Chciałam

mu właśnie posłać tabliczkę czekolady i szukam okazji.

Gabriela syna nie zna, o okazji żadnej nie wie, o Starym Mieście chętnie opowie, tylko chce się przedtem zobaczyć z lekarzem. Dyżurnym lekarzem jest właśnie siwa kobieta. Obiecuje zająć się Gabriela, ale wciąż wraca do swoich spraw, pragnie wiedzieć coś o ulcach, którymi syn jej chodzi, o sprawach w szarych w powietrzu, którym on oddycha, o ludziach, wśród których jest.

Gabriela chce jej powiedzieć o bohaterstwie młodych, o bezsensnych nocach ludzi dobrej woli, idących bez spoczynku od pożaru do pożaru; o księżach biegnących z gazetkami do najniebezpieczniejszych placówek; o rannych żołnierzach, którzy gotowi zataić istotny stan zdrowia, aby jak najprędzej wrócić do akcji; o dzieciach bawiących się na stopniach oświetlonych kociołków, przemienionych na szpitale i schrony; o dotkliwym braku trumien.

Ale zdania z jej ust wychodzą okaleczone,

wyblakłe, nie takie, jakimi je pomyślała, bo właśnie zaczyna dziać się z nią coś dziwnego, trudnego do zniesienia. Ból. Spazmatyczny, rozdzierający, rozchodzący się od krzyża po korzenie włosów, po paznokcie palców u nóg. Więc Gabriela już tylko mówi o swoim. Lekarzka otwiera drzwi do sali porodowej. Gabriela kładzie się na łóżku i poddaje cierpliwie oględzinom. Ciężka praca porodu zaczyna się. Gabriela pozostaje już w tej sali na dobre. Zostaje tu, by niezmeńczonymi krokami przemierzyć bólem kilka metrów podłogi, by przeżyć swoją mękę. Chce być do reszty dzielna. Lekarzkę zastępuje lekarz, jego znów lekarzka, a Gabriela wciąż chodzi. Jeszcze upłyną godziny, nim się to wszystko skończy. Wtedy wyniosą ją na noszach. A pielęgniarka będzie trzymała na rękach dziecko, które zapłacze po raz pierwszy w godzinie, kiedy nad umęczonym Starym Miastem zalegnie cisza.

Teresa Wloneczek-Czarkowska

CZESŁAW MIŁOSZ

Massachusetts

Sen jest ciężki. Grupa młodych ludzi wypisuje fałszywe dokumenty, po czym coraz to ktoś wymyka się do drugiego pokoju — tam szepczą do siebie, że osoby wypisujące dokumenty to szpicle i że szaleństwem jest im zaufać. Powoli ta zmora traci na ostrości i napęnia się śpiewem ptaków. Budzę się. Jaskrawe słońce na bujnej, soczystej zieleni drzew przed oknem. Wrzawa ptasich głosów. Letni ranek, radosny jak w dzieciństwie — gdyby nie ten sen, który przypomina, że powrót w czasie jest niemożliwy. I głosy ptaków są nie te, które znałem w dzieciństwie. Nie znam tych treli. Szydercze, monotonne nawoływanie, które powtarza się w różnych odstępach, wydaje ptak, którego nie umiem nazwać. Jestem w Nowej Anglii, w stanie Massachusetts, oddzielony od dzieciństwa latami zmywa, pełen twarzy ze snu, które, jak sobie uświadamiam, były twarzami towarzyszy wczesnej młodości. Zapewne przywołała je wczorajsza wieczorna rozmowa. Bardzo kiedyś znudzeni ciszą prowincjonalnego miasta, wycinający szczytami na ławce serca przebite strzałą, dziś mieszkańcy przydrożnych grobów w Europie, Azji i w Afryce, pracownicy śląskiego przemysłu, urzędnicy brytyjskich dominiów, nauczyciele w Nowej Zelandii zbiegli się w warszawski sen, aby mnie niepokoić.

Pani Pickett nalewa kawę. Sprzed werandy strzyżone trawniki idą łagodnym zboczem ku alejom miasteczka. Pienista zielen lasów góry Holyoke naprzeciwko jest niebieskawa. Tropikalny upał w powietrzu.

Nie mogę pani Pickett opowiadać o snach. Jak się spało? O, znakomicie. Nie mogę opowiadać o niczym, o żadnym głosie niewidzialnych Eryni. Lepiej więc rozprawić o sposobach przyrządzania konfitur, o strzyżeniu szkockich terrierów, o odmianach kwiatów. Sumienie pani Pickett jest spokojne. Ten domek dla lalek (nie ma piękniejszej architektury, niż architektura drewnianych domków amerykańskiej wsi) unosi się w zaczarowanej krainie, utrzymywany w powietrzu magiczną siłą Uczono mnie, że wysoki poziom cywilizacji zdobywany był pracą niewolników i że obecność niewolników źle wpływa na równowagę sumienia posiadaczy. Gdyby w willi pani Pickett mieszkał w suterynie dozorca, uchylający przed panią czapki, może by sumienie było zamącone. Odkręcając kurki z gorącą wodą, przyłapałem się na myśl, gdzie jest „człowiek“, który dba o to, aby co dzień była gorąca woda. Ale robi to maszyna. Ruda Betty, która siedzi naprzeciwko mnie, pomaga w gospodarstwie. Jest studentką college'u, którego campus zaczyna się o sto metrów od domku. Zarabiając w ten sposób, skończy wkrótce college (równa są mniej więcej dwa latom polskiego uniwersytetu). Nie ma ona zbyt wiele pracy. Trawniki przyjdzie ostrzyć ten sam „strzygacz“, który to robi w całym sąsiedztwie. Tysiące pań Pickett żyje w zaczarowanej krainie spokoju, dobrobytu i czystego sumienia. Bąkniesz coś o Europie? Wielkie, przerażone oczy. Och, czyżby? Och, to straszne? I ogarnia ciebie zażenowanie. Można mówić o Europie z panią Kohn. Właśnie jej Buick zatrzymuje się przed domem i pani Kohn macha przyjaźnie ręką znad kierownicy. Obok niej siedzi mój dawny wileński profesor, który tu wyklada literatury słowiańskie. Pani Kohn jest urodzona w Europie. Mówi po angielsku z silnym niemieckim akcentem a jej mąż jest profesorem historii środkowej Europy w college'u. Ale widok z samochodu jest zbyt absorbujący, aby mówić. Pozwólmy sobie na odpooczynek. Mój pobyt tutaj jest wypełniony pasmem wizyt u profesorów, na których to wizytach jestem wymowny, dowcipny i obrazowy — byle zdobyć pomoc dla polskich uniwersytetów. Przejedźmy przez campus. O ciszo gajów Akademosa! O bujny obrósł winem i bluszczem! O wielkie, ciche, jaskrawe, strzyżone trawniki, na które pada cień starych drzew i gdzie odprawiają swoje piąsy popielate amerykańskie wiewiórki! Czy naprawdę wy je-

ścieście najlepszym miejscem do wychowywania młodego pokolenia, które ma tu biblioteki, laboratoria, a do nauki muzyki rządy pokoi, każdy z fortepianem? Przyjeżdża tu na koncerty Marian Anderson, Kuszewitzki, a na gościnne wykłady sławy naukowe z całego świata. Czy też może lepiej jest kształcić młodzież w najbardziej piekielnych punktach globu, wśród widoku krzywdy i nieprawości? Otwarcie mówię: nie wiem. Wiem tylko, że tutaj wszelkie sprawy zalewa nurt fizjologicznego życia, który dla ludzkości jest, być może, równoznaczny ze szczęściem. Radość zdrowego organizmu, miłość, małżeństwo, dziecko, domek pani Pickett. Och, to unosi się w powietrzu. Gdybym tu pomieszkał, wpadłbym w erotomanie, lecząc się w ten sposób ze wszystkich snów, przepędzając precz Erynie. Już teraz mlaskam i obliczuję się, kiedy mijamy śliczne, dorodne dziewczęta o malowanych ustach.

Przejeżdżamy rzekę. W niedzielny ranek, w Europie, pełna byłaby kąpiących się ludzi. Tutaj jest pusta. Mieszkańcy wyjeżdżają autami na pikniki, albo idą do basenu. (Park, w parku basen, korty, tereny do golfa — wszystko dar złożony miasteczku, oczywiście przez prywatnego ofiarodawcę). Wzgórza, pola, fermy — wreszcie wioska. Wioska Hadley jest polska. Świadcza o tym nawet nazwiska na sklepach. A oto i gospoda „pod Białym Oriem“. Najstarsze pokolenie mówi po polsku. Średnie zna polski, ale między sobą mówią po angielsku. Młodsze rozumie trochę po polsku, ale mówienie po polsku przychodzi im z trudem. Należą do polskiej katolickiej parafii (inni katolicy należą tu do parafii irlandzkiej). Proboszcz, którego odwiedzimy po południu, pokaże katechizm, którego jedna strona jest po angielsku, druga po polsku. Inaczej dzieci nie zrozumieją.

Czy dużo dzieci tych farmerów kształci się w college'u? Znikoma ilość. To jest choroba Polonii amerykańskiej — niechęć do wykształcenia. Czy wynieśli to ze starego kraju, gdzie droga kształcąca się chłopięcego dziecka była ciernista, czy utwierdziła ich w tym Ameryka ze swoim zrównaniem pracy fizycznej i umysłowej — tak czy inaczej ci bogaci farmerzy, których bezrolni i maśrolni rodzice wyemigrowali z Polski, nie kwapią się z posyłaniem swoich dzieci na uniwersytety. Panna Teksar, która przez dwa lata pomagala w gospodarstwie pani Kohn, skończyła studia i właśnie wczoraj, z żalem żegnana, odjechała na posadę do Waszyngtonu, należy do wyjątków. Teksar to naturalnie z angielska wymawiane Tęczar. Kelner w restauracji, gdzie wczoraj jedliśmy obiad, nazywał się Mroziński. Bił Japończyków na Okinawa czy na Filipinach, jeździł ze swoją dziewczyną autem na pikniki i należy wątpić czy Arystotelesy i Platony z biblioteki, która mieści się tuż obok, pozbawiają go spokoju. Dzieci farmerów z Hadley będą siedziały na roli, pójdą do handlu, do fabryk, do intratnych zakładów pogrzebowych i prawdopodobnie nigdy nie zrozumieją pędu do nauki, który mają ich rówieśnicy w starym kraju.

Betonowa szosa pomiędzy lesistymi pagórkami. Jak pięknie. A oto i Holyoke College. Znowu gładka zielen trawników, jak z ilustracji do dziecinnej książki, znów biblioteki, laboratoria, muzeum, stare klony i lipy, zabawy wiewiórek. Kilka mil dalej i wjeżdżamy w campus Amherst College. Stoimy na krawędzi wzgórza, przed wielką, okrągłą, bazaltową płytą — jest to pomnik ku czci wojowników college'u, poległych w drugiej wojnie światowej. Z dołu, z kortów tenisowych słychać monotonne odbijanie piłek.

Gdyby to bogactwo gmachów, książek, pracowni, które objechałem w ciągu godziny, znajdowało się w Polsce, nasi wychowawcy odetchnęliby z ulgą. Byłoby to więcej niż mają wszystkie nasze uniwersytety razem wzięte. A przecie to tylko godzina podróży po olbrzymim łądze.

Trzeba jednak wracać. Mam się spotkać z dobrą miss Wilson, profesorką historii Sta-

nów Zjednoczonych. Miss Wilson, dzieląc odcień zebraną dla studentek Francji, Włoch, Grecji i Polski, dba o to, aby studentkom polskim przypadła w udziale odzież najcieplejsza: swetry, sportowe buty, futerka, ciepła bielizna. Mam potem omawiać sprawę książek, stypendiów, odczytów o Polsce i mam nadzieję wydstać komplet publikacji dla naszych zakładów botaniki.

Nazajutrz mam coś do załatwienia o 60 mil stąd. Autobusy są tanie i punktualne. Droga przez lasy. Dąb, brzoza, wierzba, klon. Na skalach popłatane wykroty świerków, poszycie z różowo kwitnących azalii. Miasteczko: kościół, biblioteka, sklepy, drug-store. Znowu las, górskie strumienie, kaskady. Farny. Znowu las, las, dziesiątki mil lasu. Miasteczko: kowal, biblioteka, drug-store. Droga wśród górskich lasów — i nagle, z lasu: komin, szyby, fabryki, tory, aby znowu zapaść w lesistość. Ale te lasy są jak dekoracja teatralna. Po ich bujnym, rozszalałym gąszczu nikt nie chodzi. Może nikt nie ma czasu: wszyscy śmigają autami po betonie szosy. Może odstrasza ich też poison ivy — trujący bluszcz o niewinnym wyglądzie, którego dotknięcie powoduje na drugi, trzeci dzień gorączkę i rany. Nie wiem czy dzieci śródleśnych miasteczek i farm zapuszczają się w gęstwinę w poszukiwaniu przygód i zwierzy, jak to robiliśmy w dzieciństwie. Na pewno jednak mają dosyć zajęcia łapiąc pstragi, szukając gniazd kolibrów i obłaskawiając wiewiórki. Żyją w swoim zamkniętym świecie jak Nick z opowiadań Hemingwaya i śmieszne byłoby robić im zarzut, że wyrastają na ludzi mało wiedzących o reszcie globu, poza Ameryką. Fakt, że Nick i Joe dwa razy już bili się w odległych krajach Europy, jest, rozważywszy rzecz dokładnie, zadziwiający.

Rzeczy zadziwiającej widzi się w Stanach dopiero na prowincji. Monumentalna brzydota Nowego Yorku jest w istocie tylko spotęgowaniem cech każdego wielkiego miasta. Małe miasteczko wśród lasów jest niepowtarzalnie amerykańskie i nie darmo amerykańscy socjologowie poświęcili mu wiele monografii. Losy świata w dużym stopniu zależą od małego amerykańskiego miasteczka, które, zsumowane z innymi małymi miasteczkami, składa się na charakter jednej z dwu potęg, rządzących polityką światową.

Dwa są zjawiska, które pobudzają do rozważań. Są to: biblioteka i kościół. Dwadzieścia domków przy szosie ma już budynek z widocznym z daleka napisem: Library. Czasem jest to maleński budynek, ale jest. W większych miasteczkach jest to zwykle jeden z najokazalszych gmachów, a jego zawartość nie ustępuje Bibliotece Publicznej w przedwojennej Warszawie. I trzeba dodać, że korzystanie z nich jest bezpłatne.

Znaczenia religii w Stanach na ogół się nie docenia, chociaż niby się wie, że ucieczka przed prześladowaniami religijnymi w Europie była jednym z głównych motorów kolonizacji. Zwiedziłem kaplicę w college'u. Jest ona jedna dla wszystkich chrześcijańskich wyznań. Prezbiterianie, kwakrzy, luteranie i kongregacjoniści razem śpiewają psalmy i słuchają nauk kaznodziejów. Nierzadko w tej kaplicy przemówienia wygłaszają rabini. Religia w Stanach w ciągu ostatnich dwu wieków stała się instytucją społeczną, a przemianem strony dogmatycznej. Stała się zlemską sprawą najlepszego zorganizowania wspólnoty i mówi się w tej kaplicy o United Nations, o pomocy dla Europy, o modlitwie za pokój więcej niż o życiu pozagrobowym. Tych parków i basenów ofiarowywanych miasteczku przez prywatne osoby, tych bibliotek i college'ów nie da się zrozumieć, jeżeli się pomija tło religijne prowincjonalnej Ameryki (Nie dalej niż dwa dni temu pocztą przyniosła do college'u podpisany przez dawną absolwentkę czek na sumę pół miliona dolarów).

Stany Zjednoczone stoją w obliczu wielkich wewnętrznych wstrząsów i zaostrej walki klasowej. Nie ma świętego Amerykanina,

który by się z tym nie zgodził. Jak te procesy wypadną na tym szczególnym tle bezinteresownych zapędów charytatywnych, trudno przewidzieć. Tylko katolicy trzymają się z dala od kaplicy wszystkich wyznań. Zdyscyplinowani, reprezentujący rosnące wpływy, oparci o Amerykanów pochodzenia irlandzkiego, polskiego, włoskiego i południowo-niemieckiego, mają własną politykę, stanowią państwo w państwie. W czasie objazdów Bora-Komrowskiego pewien irlandzki adwokat zapytał mego znajomego, kto to jest Bor, bo w parafii polecono im uczestniczyć we wszystkich manifestacjach na jego cześć. Adwokat kazał synom wsiąść w samochód i gnać od miasta do miasta, wysłuchując wszędzie polskich przemówień, z których nie rozumieli ani słowa. Powiedziano mu w parafii, że Polska jest ważna dla katolicyzmu, bo ma aż cztery miliony mieszkańców. Jest to polityka kardynała Spellmana. Nie wszystkie grupy katolickie popierają tę politykę — jak np. chociażby grupa włoskiego księdza Sturduzy. Która polityka okaże się słuszniejsza na dalszą metę, czas pokaże, choć słuszność tej pierwszej wydaje się raczej wątpliwa.

Miasteczko, w którym stoi domek pani Pickett, nazywa się, wyjawmy to, Northampton. Wyjawmy, też, że college, który w nim się mieści, nazywa się Smith College, a mój dawny profesor, który niestrudzenie krząta się dokoła pomocy dla Polski, jest Manfredem Kridlem we własnej osobie. Northampton ma 25 tysięcy ludności. Z lekkim sceptycyzmem kieruję kroki ku galerii sztuki. To tak, jakby się szło na zwiedzenie galerii sztuki w Jędrzejowie czy Mińsku Mazowieckim, nie ubliżając tym miastom. O głupi Europejczyku! Czy wiesz, co znajdziesz w tym gmachu (dary prywatne)? Wyliczmy kilka pozycji: „Autoportret“ Goi. Poussin. Cézanne. Cztery pejzaże Corota. Pięć obrazów Courbety, w tym wielkie płótno „Ubiwanie panny młodej“. Dwa Degasy. Trzy obrazy Delacroix. Pięć Garicault. Claude Lorrain. Renoir. Monet. Rousseau le douanier. Picasso. Ronault. Bonnard. Constable. Ruisdael. Mozaiki bizantyjskie. Rzeźby greckie. I wielka ilość dzieł nowoczesnej rzeźby i nowoczesnego malarstwa Ameryki, w tym fresk wielkiego meksykańskiego malarza Diego Rivera. Wystarczy? Chyba tak, więc pominę milczeniem średniowieczne rzeźby francuskie i włoskie, tudzież chińskie wazy.

„Muzeum sztuki Smith College jest małym muzeum. Jego kolekcje nie są obszerne, ani wyczerpujące“ — tak powiada wstęp do katalogu.

Słońce z niskich bylin już się na zachód chyli i pustoszeje targ — rzekł kiedyś K. I. Gałczyński. Po zieleni jeździ maszyna do strzyżenia trawników, wzbijając z sobą błyszczącą mgłę ścietej trawy. Brązowy chłopak, nagi do pasa, siedzi przy kierownicy. Cienie są długie. Zapach od lip — zaczynają kwitnąć. W bibliotece college'u jest chłodno i uroczyście. Książki wydaje dziewczyna, której nazwisko kończy się na „ajtis“. O, naturalnie, jej rodzice mówią po litewsku. Wystarczy zresztą przypatrzeć się jej bliżej, a oko, wprawne, umieści ją nad Niemnem czy Dubisą; ten jasny kolor skóry, ta płowosc włosów. Tylko swoboda bycia i czerwona pomadka na ustach stanowią znamię przynależności do innego, nowego narodu.

Jesteś miłą dziewczyną, Kitty, ale ja nie mam czasu. Muszę pójść do kwieciarni, żeby kupić kwiatów dla pani Pickett, dziękując jej za gościnę i życząc po cichu, aby cień moich snów nie został w ścianach jej domu. Niech patrzy codziennie na niebieskie zbocza góry Holyoke, niech przyrządza dżemy i niech żyć jej do końca upłynie normalnie, ta normalnością, która tak niepokoi amerykańskich pisarzy. Mam nadzieję, że jako osoba dobrze wychowana nie zajrzy do mojej walizki, gdzie leży książka, którą czytałem w drodze, książka europejskiego autora o konwulsjach euro-azjatyckiego kontynentu.

Czesław Miłosz

MŁODZI POECI

MARTA ALUCHNA

Spotkanie

Pamiętasz,
k któregoś dnia w maju
zadeszczono rano asfaltowe
za męzną szybą tramwaju
przepływało powoli
wzdłuż zielonej Filtrowej
czarnym obłokiem parasoli.

Rozpiąwszy łącząc przymierza
naszych niebieskich spojrzeń,
trwaliśmy bezruchem w ruchu,
który ulicę zmiatał
spod obojętnych nóg.

A dzień wokół naszego światła
bezsztalną pustką leżał,
albo jak niecierpliw bóg
kemenice i chmury spiętrzał.

Wiedziałam: prysnie łącząc
w szum ulewy skoczysz, w śpiew ryńien,
gdy sztandar niepogody
nad głową wiosenną rozwieszysz
i pozwolisz się wchłonąć
w obłok ulicy
i trzeba będzie czekać
i nie wiadomo dokąd,
żebyś narodził się znowu
z jakiejś innej mgławicy zdarzeń,
z innego snów obłoku.

ROMAN BRATNY

Auf 1946

Kaszlany nad rzeką. Cień.
Wszyscy skrzydłowi młodości
wbiegijmy! Jeszcze raz ustawmy się,
a piłka o 6 lat umarłych niech odmłodzi.

Zawadiackie rogatywki liści kaszlana
— spod nich oczy nieba siwe.
Ja na środku napadu słone.
Zaczynamy. Piłka do łącznika!

Ach — Jerzy! — poległeś — Hoża 51
Więc skrzydłowi! Dlaczego złamane mam skrzydła?
Tu 3 pluton w natarciu załamał się,
gdy padłeś biegnąc ku sławie — na stopniu
porucznika.

Natarcie biegnie przez cmentarz.
Piłka jak glob szyły przez błyskawice
błyskające z esesowskiego kołnierza
leci ku głowom, które stracił.

Stójcie! Niezłamane mam skrzydła,
na prawym już biegnie Twój pluton,
na lewym Twój szep: „ojczyzna...“
Jerzy! Wiktorze! — spod ciężkiego buta

wyrwaliśmy jak piłkę...—widzisz globus szkolny...?
Wyrwaliśmy świat i coś więcej!
Taki football — sport skrzydlaty i męski.
Cześć poległym na skrzydłach historii.

KRYSZYNA GRZYBOWSKA

JULIA HARTWIG

Krawędź

W nocy, gdy budzę się i dzwonią szyby,
nie pamiętam czy od deszczu, czy śniegu,
na ulicy rewolucja — albo konik doróżkarski tupie.
Jedno tylko dojrzewa w moim śnie szerokim,
że przychodzi świat i wykona za mnie pracę jasności.
Naprzeciw gdy przenoszą lampę z pokoju do

wiem, że tak słońce oświeca drugą półkulę.
Dla mnie kogut przybiega do fabrycznego miasta,
z prostotą przyjmując jego piąte pianie.

Wtedy słońce wychyla głowę,
wszystko może teraz wschodzić i kwitnąć.
Wielkie kominy objeżdżają miasto zbożem.
Dziecko trącone przez rower, długim jednostajnym
piskiem

weszwie robotników do hal.
Wyjdą, kiedy już próżniak zagwizdże na chodniku.
Stróżu nocny, jesteś panem nocnej ulicy!
Stoi przed oświetlonym magazynem z sukniemi,
a lalka jest podobna do jego dziewczyny,
gdy uśmiechnięta i strojna idzie z nim w niedzielę
do parku.

MARIAN JACHIMOWICZ

Nie wiem

Alkoholem powietrza
poranni ludzie płyną

Nie znam ich zdarzeń
zawieszonych na wątkach logicznych

Nie odróżniam śmigi od kwiatu
ni lotu od trwania

Strzępów nieba
od skorup naiwnej pisanki

Nie wiem gdzie szyba siłczona
a gdzie leży kałuża

W doniczce mojej drut kolczasty pączkuje
Lufą armaty przeciekają gwiazdy

Szwy mojej czaszki mogą rozciągać bez granic
Może w niej mięso pochowam

Mogę zbierać ślady krwi człowieka
wielkie jak obrusy

I nakrywać nimi stoly
I sumienia rozbiłe niezgrabnie

JERZY LOVELL

Las

Szedł las, kołysząc wiatrem —
ja z wiatrem szedłem lasem.
I było, jakby ktoś wielkie światło
zapalał i gasił.

Od głowy rósł mi cień, od nóg zieloność,
z palców spadały rude wiewiórki —
czasem stawałem nieruchomo,
patrzając, jak liście żółtkły.

Widziałem wtedy na powietrzu
śmiertelnie białe dłonie —
w dłoniach tych dogorywał wieczór,
bezdome piskłę wrony.

Widziałem wtedy na zachodzie
płacz ranionej sarny —
do jej wilgotnych oczu las podchodził
i klękał mrocznie i czarno.

Pochylny igliwiem i wiatrem,
szumiałem drzewo lasu.
I było, jakby ktoś wielkie światło
zapalał we mnie i gasił.

WŁADYSŁAW MACHEJEK

Ustalona miara

Kolejka napowietrzna przez żelazne żebra rozprasza
miasto spalone na węgiel i dym;
ręką nachyloną w bieg,
objętą odzyskanym ładem i czasem
dziesięć wyszukują toczących się miejsc-malowideł.

W parku zakochana dziewczyna zaczesuje strumyki
sobie na chore skronie.
A komin dalej wylałuje w obieg ulic, jak rumak.

Zielone Świąta uciekają w lasy i źródła.
Czy widzisz krąg szerszy?

Dwie ręce ma miasto. Jedną ja powiodłem
wskazaniem prostym, jak szyny,
drugą kościół podniósł, jakby od ludzkich piersi.

A miasto zostaje. Nagrzebuje ceglany pancierz
i ster trzyma południa.
Ci, co przychodzicie, ręk nie łamcie,
że od słońca, jak rębaczka aż na bruku dudni.

Walbrzych, jak ustalona miara, wysuwa czas naprzód,
by było do Zagłębia podobniej;
tu się dym w sto koni parowych zaprzęgi,
bije serce o młot,
a pot chłopa pola nawodnił.

ANNA POGONOWSKA

Wyrastam

Wyrastam ze swego ciała —
Przenikam za oczy swoje —
I sraże brzoź niepokoje
Ruchem, którym powstałam.
Przegina słoneczną blachę
Wiatr: Zieleń rozszczenia woń —
Jak piana na falach ostra
Nad dniem swoim i wiosny
Wznoszę skroń.
W gałęziach rodzą się liście —
Dochodzi tonu powietrze
Płakami — W za wąskiej myśli
Tęść za wielką — pomieszczę.

TADEUSZ URGACZ

Inwalida wojenny pod Sukiennicami w zimie

Smyczek umaczany w białym wierzze
Namalował dużo, bardzo dużo,
A z powietrza już tego nie zerziesz,
Choć się oczy przed siebie zanurzają.

Nic, tylko się fale jakieś klóca,
Fale słońca utopione w szybie.
Smyczek umaczany w białym wierzze
Gra tak jakoś bardzo nieszczęśliwie.

Odjeżdżają auta w złe wieczory.
Tęgo dzwoniś przechodniami, asfalcie!
Ręką chudą, żółtą ręką zmyry
Męczy struny rycerz w leśnym palcie.

— Teraz może, teraz albo nigdy —
Tęgo dzwoniś przechodniami, asfalcie!
A ten smyczek jak palec dziecinny
Drży od dłoni tego w leśnym palcie.

Aż wyskoczy z skrzącego pudła
Serce czarne i nieprzestrzelone.
Taki granat rycerza na szczudłach
W proch rozsądzi to miasto uśpione.

WITOLD WIRPSZA

Krawędź

Świsł kuli karabinowej
(nieuchwytny tor pocisku,
linia niewidzialna, otwierająca przed sobą brzozę
przestrzeni)

przepoławia mi świat. Na tej krawędzi,
jak na cienkiej ranie, składam słowo:

wargi powietrza.

Albo na opadającym płatku irysu,
na żółtej łodzi, zanurzonej lekko
dziobem w dół, przepływającej
przez zieleń,
przez widniejące daleko czerwone dachy miasta,
mimo wrośniejącej w drewnianą rdzę szlachety,
mimo ostrego wierzchołka siniego kamienia,
na żółtej łodzi
wgłębiającej w ziemiępóki nie spocznie przestrzeń,
jak banie ręki

wargi wody.
Okruch fosforu, świecącego zarówno
punktem, wgrzyzionym w świat pocisku,
zarówno
punktem, wgrzyzionym w ocieżałą kulę,
oto poezja: uklucie śmierci, krawędź czasu i nicności.
Składam w nią

wargi powietrza,
wargi wody.

Teatr w ślepym zaułku

Dwa czynniki sprzyjają rozwojowi teatru
ostatnich stu lat: wzrost frekwencji i wzrost
dochodów kasowych, czynniki, które pozo-
stają w ścisłej zależności od siebie: gdy frek-
wencja w teatrze wzrasta, wzrasta liczba po-
wtórzeń tej samej sztuki, natomiast zmniej-
sza się liczba premier, a co za tym idzie rosną
dochody. Oto parę cyfr dla ilustracji.

Gdy Tadeusz Pawlikowski objął kierownictwo
w nowowytbudowanym teatrze miejskim
w Krakowie — a więc przeszło 50 lat temu —
liczba premier w jednym sezonie osiągała,
a nawet przekraczała 100. Sztuka na ogół szła
dwa albo trzy razy; gdy powtórzono ją pięcio-
krotnie, mówiło się o sukcesie. Gdy porów-
namy ten stan rzeczy ze stosunkami panują-
cymi w teatrze za czasów poprzedników Pa-
wlikowskiego — Koźmiana i Gliksona — re-
zydujących kolejno w tzw. dziś Teatrze Sta-
rym, trudno nie uważać tego za duży postęp.
Cóż dopiero mówić, gdy Pawlikowskiemu u-
dawało się w ciągu 6-letniej działalności po-
wtarzać niektóre sztuki nawet 20 razy, ba,
„Tamten“ Zapolskiej osiągnął cyfrę 43 przed-
stawień. Były to jednak wciąż jeszcze wy-
jątki.

Ta, że tak powiem, tendencja zwykła
w teatrze utrzymuje się i za następców Pa-
wlikowskiego. Obserwuje się ją zresztą
i w innych miastach, nie tylko w Krakowie,
z tym, że ma inny charakter. W Warszawie
np. ze zmniejszeniem liczby premier daje się
zauważyć wzrost liczby teatrów. W Krakowie
tendencja ta była mniej wyraźna — mniej
właściwie raz na tydzień przypada premiera (za
dyrekcji Osterwy 48 premier rocznie), a póź-
niej tuż przed samą wojną jedna co dwa ty-
godnie. Przejawiała się ona raczej w ilości
widzów (płacących), którzy odwiedzili teatr
w ciągu roku, niż w zmniejszeniu liczby pre-
mier. Przeciętna widzów na przedstawieniu
wynosiła 300—400 osób — za czasów Tadeu-

sza Pawlikowskiego frekwencja taka oznacza-
łaby powodzenie, dziś uchodziłaby za klępkę.

Nie chcę przytaczać za dużo cyfr, chcę tyl-
ko stwierdzić fakt, że od lat jakich kilkadzie-
sięciu frekwencja w teatrze wzrasta, wydatki,
związane z częstym wystawianiem nowych
sztuk maleją, a mimo to teatr przeżywa kry-
zys. Czym to tłumaczyć? Oczywiście nie bez
znaczenia są przyczyny finansowe — teatr
dzisiejszy, który jest obecnie instytucją mniej
samowystarczalną niż teatr z okresu stu dwu-
dziestu premier w roku, mimo że — potocznie
mówiąc — publiczność wykupuje coraz wię-
cej biletów — nie ma po prostu pieniędzy.
Bezpośrednim następstwem tej finansowej
sytuacji w teatrach jest: pogoń za sztuką „ka-
sową“, fobia do sztuk wartościowych, demo-
ralizacja dyrektora i aktorów. A równocześnie
słyszysz się wiele o społecznym zadaniu teatru.

Jak temu zaradzić, jakie znaleźć wyjście
z tego błędnego koła? Niektórzy uważają, że
tylko państwo mogłoby uzdrowić teatr, bio-
rąc teatr na swe utrzymanie i wyznaczając
na jego cele poważne subwencje. Państwo da-
łoby kierownictwu teatru możliwość podniesie-
nia jego poziomu artystycznego. Nie zapomi-
najmy jednak, że w dobie obecnej państwo
ma za dużo innych, równie ważnych, jeśli nie
ważniejszych zadań przed sobą, aby je jeszcze
obarczać tym obowiązkiem. Zresztą czy takie
rozwiązanie byłoby celowe?

Zastanówmy się jednak, skąd się bierze ów
brak pieniędzy w teatrach — przecież ze
wzrostem frekwencji powinny proporcjonal-
nie wzrastać i dochody, jako że zmniejszona
liczba premier powinna za sobą pociągać mniej-
sze koszty wystawy, mniejsze wydatki. Otóż
to właśnie — „wystawa“ — to moim zdaniem
sedno sprawy, jedna z najważniejszych, a mo-
że nawet jedyna przyczyna kłopotów finan-
sowych w dzisiejszym teatrze.

W latach, gdy w teatrze daje się zauważyć

wzrost frekwencji, wzrastają też, w stosunku
nieproporcjonalnym do dochodów, koszty wy-
stawy. Dlaczego? Otóż w owym czasie w tea-
trze dokonuje się przewrót od wewnątrz,
przychodzi do głosu koncepcja realizmu
i autentyzmu scenicznego. Miejsce malowa-
nych na płótnie dekoracji, fermów i przysta-
wek, które w różnych kombinacjach i zesta-
wieniach służyły długie lata jako oprawa
sztuki, zajmują coraz to nowe, coraz wspa-
nialej wykonane. Już się nie widzi na scenie
mebli malowanych — wszystkie rekwizyty
teatralne są prawdziwe, wszystkie kostiumy
autentyczne, wszystko zmierza w jednym kie-
runku: dać widzowi maksimum złudzenia rze-
czywistości. (Pawlikowski np. sprowadził
w zimie z Włoch zielony groszek, który mia-
no laskać na scenie w wystawianej przez nie-
go sztuce).

„Dla każdej sztuki nowa oprawa“ oto ha-
sło, które przyświeca od tamtejszych lat, a które
na owe czasy było czymś niesłychanie nowym
i rewelacyjnym. Oczywiście, że takie inowa-
cje były w owym czasie i potrzebne i koniecz-
ne, ale w dalszym rozwoju teatru doprowa-
dziły właśnie do obecnego kryzysu. Nie
wszystkie bowiem reformy wynikały z rzeczy-
wistych potrzeb teatru. Teatr ówczesny był
w dużej mierze teatrem mecenasów, powsta-
łym z ducha teatru dworskiego. Typowym
tego przykładem był teatr księcia z Meiningen
teatr, którego koncepcja bezwzględnej niezal-
eżności i nieogładania się na widza zbioro-
wego, realizująca konsekwentnie wizję jed-
nostki, która dysponuje własnym majątkiem,
zaciążyła i dziś jeszcze ciężko na naszym tea-
trze.

Meiningenizm olśniewał przepychem stro-
jów i wizji plastycznej — operował tłumami,
rozwiązując zagadnienie teatru zupełnie in-
czej niż Szekspir. Nie chodziło mu bynaj-
mniej o społeczeństwo. Gdy publiczność się

nie zjawiała, mecenasi tego typu sami zasła-
dali w łóżach, mówiąc do aktorów: „nie dla
publiczności gramy“. Meiningenizm, z gruntu
biedny i fałszywy, mógł być zrozumiały
w dobie hasła „sztuka dla sztuki“ — dziś trze-
ba z nim raz na zawsze zerwać, bo choć nie
zdajemy sobie z tego sprawy, żyje jeszcze
w naszym teatrze. Nacisk, jaki się kładzie na
oprawę sceniczną, rolę, jaką odgrywa w tea-
trze element plastyczny, usuwają na dalszy
plan słowo aktora, a równocześnie są bezpo-
średnią przyczyną obecnego przesilenia w tea-
trze i co za tym idzie kryzysu finansowego.

Źródło zła można sformułować bardzo krótko
— przerosł wpływ elementu plastycznego
w teatrze. Typowym tego przykładem był
Teatr Polski w Warszawie w latach między-
wojennych. Były tam w owym czasie takie
indywidualności aktorskie jak Drabik
i Frycz — ale cóż, koncepcja ciążyła nad ca-
łością wystawianych sztuk. Dekorator nie sta-
rał się zupełnie wniknąć w ducha scenicznego
utworu i wizja plastyczna, gigantyczna nieraz
pod względem malarskim, usuwała w cień au-
tora i niweczyła słowo. A publiczności im-
ponowały efekty zewnętrzne. Publiczność bo-
wiem w owych latach, to publiczność burżu-
azyjna, drobnomieszczańska, nie umiejąca się
wzruszać. Nieliczna garstka intelektualistów
nie miała na to wpływu. „Prawdziwa“ powódz,
„prawdziwy“ pożar na scenie, wspaniałe urza-
dzenia wnętrz, to największa troska realizato-
rów. Wskutek nieustannego wzrostu kosztów
wystawy teatr staje się beczką bez dna —
nie pomagają częste zastrzyki subwencji, ani
wzrost frekwencji. Teatry bankrutują (myśle
nie tylko o bankructwie finansowym, ale i ar-
tystycznym) i będą bankrutowały, bo prze-
cież taki stan rzeczy jest zaprzeczeniem istoty
teatru.

Jak wygląda sytuacja w dzisiejszym teatrze?
Błędne koło. Autorzy dramatyczni mają pre-

tensje do dyrektorów, dyrektorzy zaś do autorów, aktorzy skarżą się na brak odpowiedniego repertuaru, który by im pozwolił wyżyć się artystycznie, a publiczność narzeka na wszystkich. „Grajcie sztuki autorów polskich” — wołają jedni. „Dajcie nowy repertuar” — powiadają inni. Słusznie — ale jak to zrobić? Trzeba grać przede wszystkim takie sztuki, aby publiczność przyszła. Kierownicy teatru tracą często jasność sądu i wierzą w tzw. „szmirę”. Gdy pisarz zjawia się w teatrze z nową sztuką i czeka na wyrok, dyrektor powiada: „Piękne, wspaniałe, prawdziwe...”, ale dlaczego nie napisze pan jakiejś sztuki współczesnej? Bo widzi pan, te koszty...” Albo: „Jak ja to wystawie, tyle odsłon — takie koszty”. Otóż to właśnie, przeważnie koszty decydują o losie sztuki. Jeśli autor ma do zaoferowania teatrowi dwie sztuki, dobrą i złą, to wybiera się tę, która wymaga niedużej obsady, mniej zmian dekoracji i niewiele kostiumów (chyba że teatr jest wyjątkowo w tym szczęśliwym położeniu, że dysponuje bogato zaopatrzoną w stroje garderobą). Oczywiście, że zdarzają się niekiedy wyjątki, ale na ogół rzecz ma się właśnie tak, a nie inaczej.

A tymczasem wysuwa się dziś żądanie udostępnienia teatru szerokim masom (oczywiście nie przez wzgląd na kasę!), narzuca mu się rolę nauczyciela i przewodnika tych mas w drodze do postępu i doskonałości. Żadna ze sztuk pięknych nie ma takiego wpływu na społeczeństwo jak teatr. Płynięcie to z głębszej jego istoty. Łącznikiem między widzami a sztuką jest człowiek-aktor. Twórczość jego trwa dopóty, dopóki utrzymuje żywy kontakt z publicznością, kończy się, gdy zapada kurtyna i gasną światła na scenie. Ten

moment w życiu teatru można tłumaczyć in plus lub in minus. In minus dlatego, że o ile aktor nie odnosi sukcesu, ma poczucie zmarnowania własnych wysiłków. Stąd wrażliwość na powodzenie i reakcję publiczności, stąd liczenie się z jej „gustami”. A znaczenie dodatnie? Teatr ma możliwość bezpośredniego oddziaływania na widza a wykorzystanie tych możliwości to obowiązek teatru, rola społeczna, jaka mu przypada w udziale, a której, bądźmy szczerzy, nie spełnia.

Przecenienie roli plastyka zawiodło teatr w ślepy zaułek, z którego trzeba się wycofać, jeśli się chce uzdrowić teatr. Oczywiście, nie myślę o tym, aby przekreślić wszystkie dotychczasowe osiągnięcia i wrócić do czasów malowanych płócien, usunąć grę świateł i kostiumy. Chodzi mi tylko o to, aby w koncepcji reżyserskiej przesunąć punkt ciężkości z oprawy scenicznej na słowo. Przecież w tradycji naszego teatru żyje teatr Szekspira, którego nazwano ojcem nowoczesnego teatru. Czemuż nie wrócić do form szekspirowskich? Element plastyczny odgrywał tam minimalną rolę. Nacisnął na tym, co było konieczne dla uwypuklenia akcji. Nie było kurtyny, ani dekoracji. Nie było też kostiumów. Aktorzy mieli wprawdzie niekiedy bardzo bogate ubiory, ale były to ubiory współczesne odkupione z garderoby wielkich panów. Gdy reflektorów nie znano — przedstawienie odbywało się często przy świetle dziennym. Za to aktor i słowo wysuwali się na plan pierwszy. Aktorzy — trzeba o tym pamiętać — grali na scenie wysuniętej na widownię, z trzech stron widziani. Gra ich musiała dawać niemal że pełną iluzję rzeczywistości, którą dziś usiłuje się wywoływać za pomocą świateł, dekoracji, autentyzmu.

Oczywiście, że dziś nie można wrócić do szekspirowskiej formy teatru, ale można przyjąć jego zasadę: oddać aktorowi należne mu miejsce, ograniczyć wpływ plastyka, podporządkowując go bezwzględnie koncepcji reżyserskiej, wprowadzić do teatru prostotę, umowność, jednorodność wrażeń. Taki teatr byłby na pewno zrozumiały dla wszystkich. przekonywający, porywający, pełen poezji, oddający głęboki rytm dziejowego stawania się, słowem — byłby to teatr wielkiego repertuaru. W ramach takiego teatru nie zmieściłby się oczywiście mieszczański repertuar naturalizmu, po który tak chętnie sięgają nasze teatry, uważając, że spełniają w ten sposób swój obowiązek społeczny.

W takim teatrze powinno się grać właśnie Szekspira. W Polsce grywano za mało po szekspirowsku. Teatr Szekspira jest właśnie jednym z nielicznych sposobów kształcenia talentów aktorskich. Bez szekspirowskiego teatru nie będziemy mieli Modrzejewskich. Podobno — tak twierdzą pesymiści — aktorzy naszych czasów nie umieją grać Szekspira. Byłoby to dowód, że nie umieją grać w ogóle, że są rzemieślnikami, a nie artystami. Nie należą do tych pesymistów, przeciwnie, wierzę że znaleźliby się tacy aktorzy, byleby tylko grywano u nas Szekspira.

Były i są próby reformy w teatrze, ale to jeszcze za mało. (Sztuka Wildera „Nasze miasto”, w tym duchu wystawiona, odniosła duży sukces w Nowym Jorku, ale nie w Warszawie). Kto byłby na popisach krakowskiego studio aktorskiego Galla, ten niewątpliwie zrozumie, jaką atrakcyjną siłę mogłyby mieć podobny teatr. Uczniowie grają tam sztuki nawet realistyczne, po prostu, między widzami, na kawałku zwykłej posadzki — krzesło

np. oznacza szafę, dwa krzesła — łóżko i sugestia jest ogromna. Ożywia to bowiem prawdziwie umiłowanie aktorskiej sztuki.

Słyszałam nieraz od tzw. ludzi teatru, że Szekspir nuży dzisiejszą publiczność. Możliwe, ale o ile tak jest, to moim zdaniem, przypisać to należy nie sztuce Szekspira, ale ich wykonaniu. Po cóż sztuki Szekspira obciążać balastem dekoracji, zbędnych szczegółów i długich przerw? Przecież to odbiera im ich lekkość i tempo, poezję samego skrótu. Za czasów Szekspira przedstawienie jego sztuki trwało około dwu godzin. Obecnie w całości zagrany „Hamlet” wymagałby trzy razy tyle czasu. Podobną próbę zrobiono niedawno w Londynie. Jest to przykład, że teatr „dekoracyjny” nuży publiczność. Nie myśl zawarta w sztuce odpycha publiczność, nie słowo, ale silnie się na wspaniałą oprawę tego słowa.

Woła się wciąż o nowy repertuar, dyrekcje teatrów i krytyka zarzucają autorom dramatycznym, że nie ma między nimi „Szekspira”. Tylko teatr szekspirowskich czasów mógł zrodzić Szekspira. Pozostawiał on bowiem swobodę autorowi, nie kępował go oszczędnościami w zmianie dekoracji, pozwalał na monolog, nie ograniczał fantazji. Teatr to przede wszystkim słowo — niechże więc plastyka wyżywa się na innym polu. Swego czasu wprowadzenie do teatru elementu plastycznego było zasługą — dziś należy go ograniczyć i podporządkować słowu.

Prostota dekoracji (a co za tym idzie swoboda pisarza), wysunięcie aktora na plan pierwszy, sugestywność słowa i gry, nowy repertuar, oto czynniki, które mogą sprowadzić teatr na właściwe drogi!

Krystyna Grzybowska

WANDA CHYLICKA

UCZCIWY PIONIER

Jakże to było w Gdańsku dobry rok temu? Pionier, który trochę autem ciężarowym, trochę furą, dobrą wola a wreszcie pociągiem osiągnął jeden z gdańskich dworców (ściślej: miejsce, w którym przed działaniami wojennymi położony był dworzec), a jechał w zgodzie z afiszem P. Z. Z. w obywatelskim zamiarze osiedleńczym, stanawszy w straszliwym miejscu po Gdańsku, czuł w głowie zamęt a w sercu ciężar własnej cnoty, biedy i lekko-myślności.

Wspomniany afisz i sam dźwięk słowa Gdańsk podbijał mu wyobraźnię widokiem spichrzów nad Moltawą, dworców Artusa, rozłożystych gdańskich szaf i chociaż może nie spodziewał się zastać spichrzów tych pełnych a w oknach polskich panienek z okienek — liczył bądź co bądź przynajmniej na pięćdziesiąt procent ocalałych kamienic. W śródmieściu nie znalazł zrazu ani jednej...

Przekopywał się zatem przez gruzu, zawałające ulice, szukał mieszkania na ocalałych przedmieściach i zajmował je, chadzał po dwie godziny do miejsca pracy oraz dwie godziny z powrotem, zastawał swe mieszkanie okradzione nawet z tego pałta, które przywiózł z sobą, kupował żywność na przygodnym targu, gdzie chleb, kielbasa, duże błyszcząceuchy i wszelakie odchody przebywały w najbliższym sąsiedztwie, dmuchał w muchę, zjadał chleb, który i ona spożywała, chorował na tyfus, wracał do zdrowia, przeciskał się przez zgęszniały tymczasem tłumek handlujących, zdumiewał się tym a burzał czym innym, wciąż jeszcze demonstrował polskość czerwonobiałą naszywką na surducie dla uchronienia się od wojennych rekwiizycji i ostrożnie przemyczał z nastaniem zmroku dla uchronienia się od małej, czy nawet wielkiej i krwawej przygody.

Rok temu...

Dziś ten sam człowiek spija bezpiecznie i wygodnie, bierze prysznic, zjada gorące śniadanie (na gazie lub elektryczności) i zmierza chodnikiem, oczyszczonym z gruzu, obok rabatów kwietnych i świeżo posadzonych drzewek (zamiłowania estetyczne min. E. Kwiatkowskiego) na najbliższy przystanek tramwajowy lub autobusowy włączony w ruch komunikacyjny, pulsujący po naprawionej jezdni i mostach.

Po pracy ma do dyspozycji koncert, Bibliotekę Miejską, teatr czy kino, no i ciastka (sobota, niedziela, poniedziałek). Ruiny gdańskie są zagospodarowane.

Nie będę tu wymieniać wszystkich elektrowni miejskich, BOPów, Delegatury Rządu i rozlicznych komórek organizacyjnych, którym pionier gdański zawdzięcza obecną swą wygodę i bezpieczeństwo a porty ruch — lecz niech kto powie u diaska, czy nie zdała tu egzaminu polska prężność i dar organizacji!

NOWY POLSKI OŚRODEK GOSPODARCZO KULTURALNY

Sporne graniczne problemy tej wojny rozwiązano w mierze dotąd niespotykanej, przez masowe przesiedlenia ludności. Gdańsk jest typowym pod tym względem i będzie mógł kiedyś służyć jako przykład szkolny. „Wolne Miasto” przestało istnieć nie tylko formalnie,

lecz i merytorycznie. W punkcie, oznaczonym na mapie, jak dawniej, nazwą Gdańsk, powstaje twór nowy, miasto, które z dawnym, prócz sieci drogowej, niewiele już tylko ma wspólnego. Większość budowli w gruzach a skład ludnościowy uległ całkowitej zmianie. Prócz niewielu upiórów gdańskiej przeszłości, starych Niemców w charakterystycznych turbanach, którym udało się zweryfikować i znaleźć zajęcie przy zamiataniu ulic — niemiecka w Gdańsku przestała straszyć. Weryfikacyjny niewód zwiózł wprawdzie polskiemu wybrzeżu nie tylko dorsze i flądry, lecz także o wiele za dużo „morskich diabłów”, których obecność ostatnio rozpoznano po owoch „nein” gotykami na trzecie pytanie w referendum i innych ozdobnych, a szczególnie nieskutecznych, napisach. Kartki tego rodzaju unieważniono, ważną jednak niestety i groźną została obecność osób, które je pisały. Sprawa ta musi być poprawiona, chociaż traci sporo grozy wobec faktu, że z około 150.000 Niemców, którzy z wiosną 1945 roku wyjeżdżali z Gdańsku, dziś zostało nie więcej niż dziesięć procent. Ze 130.000 Polaków, stanowiących dzisiaj trzon zaludnienia miasta, z wiosną 1945 roku było niewiele.

Powstaje dla Rzeczypospolitej już nie pruski i butny, lecz swojski, wileńsko-warszawski, nowy i tym razem szczerze polski Gdańsk. Nie można, rzecz prosta, nie nawiązać przy tym do polskiej tradycji miasta, do herbów polskich po kościołach i samego herbu Gdańska, starych ratuszów i nazwisk na cmentarzach brzmiających pięknie: Janiszewscy, Zakowscy, Mirscy — lecz nie to ma dziś największą wymowę dokonanego faktu. To napływowi Polacy stworzyli w ciągu roku nowy Gdańsk i nową w nim polską rzeczywistość. Jakaż ona?

Obracam się dalej w zagadnieniu ludnościowym. Skład jego formował się w dwu fazach.

FAZA ŁUPIEŹCZA

Gdyby nie liczyć wspomnianego uczciwego pioniera i jemu podobnych, z natury rzeczy nielicznych, począwszy od kwietnia 1945 roku ruch ludności w Gdańsku miał charakter awanturyczny. Gromady kobiet niemieckich z dziećmi, gnane pożarem i wojną, szukały schronienia na przedmieściach, starzy Niemcy, wędrując w obłądnym przerażeniu, przysiadali, by odpocząć i nie podnosili się więcej. Z trupów tych element łupieżczy nie ściągał ubrania; wałało się w bród lepszego łupu. Wśród gruzów znaleźć było można aparaty radiowe, kryształki, futra i rowery. Ściągały zeszwał łaziki, bandy, niewiasty, pełne trwogi i chciwości, wszelki element kształcony w okresie wojny w fachowym handlu na lewo, waliło to na Gdańsk i roilo się na przygodnych targowiskach w skwarze i kurzu, wśród much, buleczek, starych Niemców sprzedających halkę i patelnię, żołnierzy z naręczem ściągniętych w szpitalu prześcieradeł, Niemcezek z jedwabną bluzką, chłopców z nartami, nędzy wysprzedającej się z garnczka do zupy i bogactwa wymieniającego za masło i słoninę zbędnego srebrnego lisa. Łupieżczy element, często przyodziany w togę surowego Polonusa i mściciela, plądrował po-

niemieckie mieszkania, tępiąc w imię ojczyźnianego obowiązku wrogie dobro.

— Mało to się oni mojego nazarli i nachapali — krzyczał „mściciel” i łap za garnitur, pierzynę czy radio.

Tobół, ledwo dodzwigany na dworzec kolejowy, szczęśny łup, wreszcie osiągnięty po długim czekaniu — czasem się udało wywieźć, czasem nie. Organizujące się władze polskie broniły zasady publicznego a nie prywatnego wymiaru sprawiedliwości.

Spryciarze z Pragi, Targówka i Wądoła zjeżdżali jednak uparcie i uparcie przemycali zdobyczne dobro. Żywiło się to bractwo na własny koncept, wyszperawszy czyjś żelazny zapas w przywalonej piwnicy, komplet konserw, garnek smalcu lub wór spalonego cukru. Dowożono te skarby na „zorganizowanym” rowerze do „zorganizowanego” mieszkania. Takie to było pierwotne „stadium” „organizacyjne” prywatnej inicjatywy aż do dnia, gdy jakaś zapobiegliwa i pyskata damuła z Rawicza uwinęła się koło obrosłego różami domku, a upodobawszy sobie w jego wnętrzu pluszową kanapę i „pianinę” — rozpałała w kuchni ogień i postanowiła tu pozostać. Paniusia z Rawicza, podniesiona do potęgi, pionier i formujące się władze polskie rozpozczeli

FAZĘ OSIEDLEŃCZĄ I ORGANIZACYJNĄ.

Remontował sobie ten i ów zajęty domek, co prawda po gospodarsku i często ściągnięty z sąsiedniego budynku dachówka, zresztą do „gospodarczego” remontu ograniczała się zrazu i inicjatywa publiczna. Zjeżdżali grupami wileńscy repatrianci, wyjeżdżali Niemcy. Formowały się, dziś już sprawnie funkcjonujące, liczne komórki organizacyjne, zaczynając od skromnych osiągnięć pierwszego zarządu miejskiego aż do dzisiejszych bujnie tętniących pracowitym i twórczym ruchem Biura Odbudowy Portów, Delegatury Rządu dla Spraw Wybrzeża czy Międzykomunalnego Związku Komunikacyjnego. Ostatnio uchwałą gdańskiej Miejskiej Rady Narodowej postanowiono połączyć Gdańsk i Sopot z Gdwiną w jedną administracyjną całość, w jedno miasto wydzielone na stopniu wojewódzkim. Pociągnięte to, gdy już zostanie uzgodnione i zrealizowane, zmaże ślad niesławnego tworu pod nazwą „Wolne Miasto” — powstanie polskie portowe miasto, o nieobliczalnie bogatej przyszłości — Gdańsk-Gdynia.

OSWOJENIE PRZESIEDLEŃCA

W Gdańsku, jak się zdaje, człowiek zza Bugu „przyjął się” dobrze. Wprawdzie wymówiono wiele słów tęsknych, dano wyraz niejednej nadziei, w końcu jednak zarówno niezłe warunki materialne, jak możliwość kulturowania swej religii dopomogły w oswojeniu.

Człowiek zza Bugu jest religijny. Ufny, niekrytyczny stosunek do problemów boskich jest jak dotąd sprawą, która tych ludzi wiąże wzajemnie bardziej niż inne. Mają kościół i uczynili jego teutoński goły czy późniejszy barok swojskim i bliskim przez zastąpienie figury świętego Antoniego, co dzień zasypywanej kwiatami, przez ufundowanie wizerunku swojej Matki Boskiej Ostrobramskiej. Gdy po sumie dają naturalny upust potrzebom

serca, krzycząc żarliwie „Boże coś Polskę” — widzą nad sobą i nad kościołem razem przesiadłony kawał wileńskiego nieba.

NA GDAŃSKIEJ ULICY

— Przyjdiesz na obiad, Antoni — woła zweryfikowana matka zweryfikowanego Antoniego.

— Eszczy nie! — odkrzykuje dawny Gerhard. — Ty masz iść patrzeć na dycht młodziuchne króliki, mama!

Gerhard-Antoni chodzi do polskiej szkoły, ma polskich kolegów, z którymi nie zżył się jeszcze z powodu odmiennej wymowy. Ale za rok lub prędzej będzie tak mówił i myślał jak oni, bo z pochodzenia jest Polakiem. Matka jego i wuj, „odzyskani” dla polskości, są także gotowi dać się odzyskać, jeśli warunki materialne nie będą gorsze od poprzednich. Trochę ich jednak razi brak kultury wśród ludności zza Bugu. Zdaniem plotkarzy zane niewiasty wileńskie wyrażały zrazu swą, nieświadomą zresztą, odradę do sanacji przez bojkot budyneczek typu „sławojek”, a synowie ich rąbali tu i ówdzie schody na podpałkę — są to jednak potrosze plotki.

Pewna mocno rozszoszczona dama opowiadała mi także, jako przykład ciągle kwitnącego chamstwa, że gdy wsiadała do tramwaju, jakiś... hm. jak go to ona nazwała? no, powiedzmy ogólnikowo: mężczyzna — zgniół jej łokciem wytworny kapelus, a na wyrazie oburzenia, wypowiediane przez nią skądinąd językiem subtelnym — obrzucił ją stekiem ordynarnych wywisk.

— W końcu wrzasnął, że teraz mamy demokrację!... Czy właściwie w demokracji nie wolno nosić ładnych kapeluszy?

Inny powileński gdańszczanin, jegomość z bródką, w zielonym tołbuk, gnie się grzecznie przed wyprostowanym młodym człowiekiem.

— Wyszędzisz ja z domu o ósmej, idę, idę, tak dojść nie mogę do dworca. Takie w tym Gdańsku przestrzenie, taki duży, duży... A ja po narzeczoną...

— Wsiądziesz pan w tramwaj i już po przesłaniu — rzecze wyprostowany i poprawia swą i tak dobrą pozycję na wysepce tramwajowej. Wysepka niby dla wszystkich; wyprostowany młody człowiek (z Warszawy!) wie, że przede wszystkim dla niego, jegomości w tołbku ze swą zbytnią delikatnością, rozrzutnie uprzejmy, wie, że przede wszystkim dla innych, większych i kull się z boku, by nie zabierał im miejsca.

— Pan warszawiak, to i wszędzie poradzi — mówi z uznaniem.

— No, niby tak. A pan ze wschodu, co?

— Z jakiego znowu wschodu? Ja z Wilna, miejski obywatel... z jakiego znowu wschodu? Im goręcej zaprzecza miękkiem akcentem, z wileńską słodyczą, tym bardziej protekcyjnie uśmiecha się tamten. Polak i Polak, a tak różne typy, różna postawa psychiczna: warszawskie poczucie wyższości i niepewna swej racji słodycz wileńska.

Tymczasem nadjeżdża tramwaj.

Kto wygra w specyficznej walce o miejsce w tramwaju? Zapewne prężny warszawiak. Wbrew psychicznym rachubom jegomość w tołbku ufonał wprawdzie w ciżbie, ale wy-

chynał z niej już wyżej nad ramiona innych wewnątrz wozu.

— Pa, pa! — machnął z tej wysokości przyjaźnię ręką warszawiakowi, który stał wciąż jeszcze na wysepce. Wkrótce jednak połapał się w swym nielakcie i już uśmiechał się przepraszając, z wyrzutem do siebie, że wsiadł a tamten nie, że może to jego wina...

Warszawiak pojechał także, lecz — dumnie wyprostowany — na stopniu.

W toku człowiek w tołubku radzi sobie lepiej. Nie jest pionierem, lubi gąszcz ludzi, osiadłe życie, a w trzódzie mu najcieplej. Jest pełen tego ciepła i ciepłych uczuć. W toku chadza się jeszcze czasem na czterech łapach a łokcie uprzejme i delikatne mogą być skrycie wiażliwe. W toku dużo uchodzi.

Wyprostowany człowiek lubi samotność, spogląda na bliźnich z góry, na wszystko gwizda. I tak sobie poradzi.

Oczywiście tak uproszczone zagadnienie, tak uproszczone typy ludzkie nie są fotografią gdańskiej rzeczywistości, znacznie bardziej skomplikowanej. Jednakże tę zasadniczą różnicę w postawie psychicznej da się zaobserwować.

Któs popchnął wilnianina przy wysiadaniu i już nastawił tarczę bezczelnej twarzy w swej obronie. Jegomość z Wilna zdjął grzecznie czapkę z daszkiem, a potem długo miętosił ją na głowie, niepewny: on pchnął czy też jego pchnięto?

W urzędach oczywiście górą Warszawa. Jegomość w tołubku jest gorącym patriotą, ba! szowinistą i lubi manifestować swe uczucia. Tym zapalem budzi znowu kpiarza w warszawiaku. Znosi jednak i antypatriotyczny i urzędowy dopust boży. Znosi wiele, lecz i on irytuje się w końcu. Oczywiście irytuje się z pechem: w niewłaściwym momencie.

Zajadał właśnie smakołyk — a na smakołyki jest specjalnie czuły — no i cóż za niezgrabna kobiecina wytrąciła mu tę bułeczkę w samo błoto?

— Taż nie widzisz pani? Ślepa jesteś? Człowieka potrącać i całodzienne pożywienie w błoto mu rzucać?!

— Aa... — rozzdawiła pocziwą głowę w zdumieniu, a potem w radosnym uśmiechu.

— To ja przecie...

— Heluchna, jak Boga najmilszego!... Ukochana Heluchna...

W szcherbatą gdańską uliczkę wsiadł coraz cichszy, bardziej tęskny i rozmarzony głos jegomości w tołubku.

— Wyszedszy ja z domu o ósmej...

GRUBA RYBA

Dotąd rzecz szła o płotkach, wileńskich płotkach, ktoś by myślał, że brak jest grubych ryb na wybrzeżu. Są, są.

W jednym z lepszych przedziałów pociągu Wybrzeże... Katowice zasiada kilku zasobnych panów w kwiecie wieku. Po pokonaniu wstępnych trudności podróży, panowie ci tworzą przy wonnym akompaniamencie „amerykanów“ i tegich kanapek odbitkę nieśmiertelnych pickwickistów.

Olbrzymiej tuszy zapaśnik zdobył bez trudu miejsce (ściślej: półtora miejsca) przy oknie i wspaniale rozparty podkreśla tym ruchem i tak widoczną swą mocną pozycję życiową. Prócz niego w skład uprzywilejowanej grupy przedziału wchodzi businessman I i businessman II (bez względu na to, czy zajmują oni stanowiska państwowe czy prywatne, sprawa „robienia interesów“ stanowi zasadniczy ton wspólny), jakiś prowincjonalny polityk oraz jegomość, który lasi się do trzech pierwszych, ale sam śmiesznie nieco brakiem forsy tym nosom o wystrzonym gielądowym wężu.

Zapaśnik w różowych kielbaskach palców trzyma niedbale kawał wieprzowej kielbasy. Na najcieńszej z różowych kielbasek paskarzy się gruby sygnet z monogramem. Na ten sygnet i wiśniówkę, którą zapaśnik pociąga z buNET i teleczki, pozostali zerkają z pewnym wyrzutem, lecz nie bez szacunku. Wiśniówka, sygnet, tłuszczyk, forsa i funkcje odżywcze zapaśnika są w tym przedziale sprawą centralną, paśnika są i inni starają się utrzymać na poziomie.

— Panu widać wojna nie zaszkodziła — zaczyna polityk — Ile też tak pan waży?

— II... nie to co dawniej — macha zapaśnik pulchnym zespołem kielbasek. — Inwajda ze mnie, panie. Było się i w lesie, panie Likier mi jeszcze żona przyrzadziła w podróż z lekarzem lekarza, panie, choć już sama wnet się lekarzom powierzy. Rodzi, panie.

— A pan w tym wypadku woli nie zawadzać kobitom...

— Jadę na urlop do Zakopanego. Rozerwać się — zaśmiała się obleśnie.

— A rozerwać, słusznie! — podejmuje ochotczo businessman I. — Dobry mąż też się panie tego przez solidarność małżeńską...

— Rozrywał... — rechocze hałaśliwie polityk.

Rechoczą tak lubo z kawałkami świniny w zębach, a życzliwość wzajemna, która się urodziła z tej wspólnej uciechy, skłania businessmana II do poczęstowania papierosem polityka, polityk częstuje zapaśnika, a przy tej okazji doczekał się poczęstunku także jegomość upośledzony brakiem gotówki.

Z dalszej rozmowy wynika, że zapaśnik jest szczęśliwym posiadaczem trzech sklepów skórzano galanteryjnych na Wybrzeżu.

— Włożyłem, panie, czterysta kawałków w ten interes. I trochę się, panie, boję...

Współcząją. Rozumieją. Rozmowa toczy się

dalej w fachowej gwarze geszefciarzy. nie zawsze zrozumiałej dla dyletanta.

— No, ale człek ma stosunek — kończy kwestię zapaśnik. — Zasużony, panie. Jestem. Zasużony!

Są typy, wypełnione wewnętrzną tłustością, wynoszącą na powierzchnię w każdych warunkach. Dyktatura czy demokracja, system i ustrój obojętne — on zawsze pływa, zawsze zaszużony.

Poza tym jednak ta sama co w Mazurze „taka dusza, że choć umrze, to się rusza“ musi zapewne tkwić i w morzu, bo rusza się tu zwawo nawet powolny zabużański ludek. Ci, dla których podobno „remont stodoły był

Tydzień polityczny Fermenty w jednym stronnictwie

Zmarł wiceprezes Stronnictwa Pracy, Zygmunt Felczak. Naczelny organ tego stronnictwa „Cdnowa“ poświęcił mu pół szpalty druku wewnątrz numeru. Kongres Stronnictwa Pracy został odwołany. Jeden z jego czolowych działaczy, wiceminister Widy-Wirski ujawnił przyczynę tego odwołania: brak wewnętrznej jedności w stronnictwie. Wielu wybitnych działaczy stronnictwa zostało zawieszonych w prawach członkowskich. Wszystko to są objawy, wskazujące na wewnętrzny ferment w stronnictwie, najwyraźniej akcentującym swój związek z doktryną chrześcijańsko-społeczną. Gdzie tkwią przyczyny?

Po cichu mówi się o włączonej do stronnictwa grupie „Zryw“ jako obcej „wtycze“, głośno mówi się o elementach nacjonalistyczno-antydemokratycznych, które weszły do stronnictwa, usiłują je wykorzystać dla swoich celów. Spójrzmy na pierwszy, szepcany argument. Przywódcą ideowym grupy „Zryw“ był właśnie Zygmunt Felczak. Syn chłopca pomorskiego, od lat najmłodszych związany z Narodową Partią Robotniczą. Grupę „Zryw Narodowego“ utworzył we wrześniu 1940, wystąpiwszy wtedy ze Stronnictwa Pracy, jak podaje właśnie „Cdnowa“. Trzcba zupełnego braku poczucia humoru albo zupełnego lekceważenia poziomu umysłowego społeczeństwa polskiego, aby w nie wmuwiał, że już wtedy, na 10 miesięcy przed wybuchem wojny niemiecko-radzieckiej, Felczak był „agentem Stalina“ i na jego zlecenie tworzył dywersję w Stronnictwie Pracy.

Felczak ogłosił przed kilku miesiącami pracę „Droga wielkiej odnowy“. Szczerość prze-myślenia zagadnień współczesnej Polski czyni tę pracę cennym wkładem do naszej myśli politycznej. Nazwiska, na które się powołuje, wskazują, pod czym wpływem przeszedł tę przemianę, po której było mu ciasno w Stronnictwie Pracy, wskazują na jaką drogę, powróciwszy do stronnictwa, usiłował je skierować. A więc najprzód Dmowski — tu wyraźna filiacja z początkami NPR — Dmowski-pozytywista sprzed 1920 roku. Potem Stanisław Brzozowski, a raczej to z Brzozowskiego, co było walką z latwiną taniego i vegetatywnego mistycyzmu narodowego. Potem Eugeniusz Kwiatkowski, a więc znowu walka z latwiną optymizmu okresu międzywojennego, pozytywistyczne spojrzenie na dysproporcje między Polską a otaczającym ją światem. Ze współczesnych zaś Gomółka-Wiesław, gdy wysuwa na plan pierwszy potrzebę zdania egzaminu gospodarczego, wyrównania dysproporcji gospodarczych między nami a Zachodem, czy nawet dziś już i Wschodem.

„Uzbrojenie cywilizacyjne Polski“ to postulat wysunięty na plan pierwszy przez Felczaka. Ale drogę do tego uzbrojenia widzi on w stworzeniu dla niego podstaw technicznych. Dlatego w jego książce tak mało ideologii, tak

Od arystokratów Koblencji do finansjery Monachium

Dziesięć lat temu w nocy z 17 na 18 lipca 1936 były republikanin, generał Franco, buntuje się przeciw republice. 1 kwietnia 1939 kapitulują ostatnie oddziały legalnego republikańskiego rządu Hiszpanii. Po trzech latach wojny domowej została zakończona wielka niemiecko-włoska operacja okrążająca. Demokratyczna Francja wzięta jest między trzy totalno-faszystowskie ramiona: nadreńskie Niemiec, alpejskie Włoch, pirenejskie Hiszpanii; połączenie Francji z jej afrykańskimi posiadłościami zależy w dużej mierze od dobrej woli Włoch i Niemiec; naprzeciw angielskiego Gibraltaru znajduje się neutralizująca go baza państw „Osi“ w hiszpańskim Marokku. Operacja okrążająca, jak tyle podobnych operacji niemieckich w okresie drugiej wojny światowej, ale nie pierwsza.

„Okrążenie“ państw demokratycznych dokonano już przed wojną. I z tego punktu wzięcia wojna była dla Niemiec „polityką przy pomocy użycia innych metod“ — i to nawet nie bardzo innych. Rok 1931 — to początek okrążania Anglii w Azji, zajęcie Chin dało Japonii bazę wypadową na Burmę, Malaje i Indie holenderskie. Rok 1935 — zajęcie Abisynii przez Włochy — to okrążenie angielskiego Sudanu i półangielskiego Egiptu, wziętego między nożyce włoskiej Trypolitanii i włoskiej Abisynii. Rok 1938 — zajęcie Au-

stracji przez Niemcy — to okrążenie Czechosłowacji. Rok 1939 — protektorat niemiecki nad Czechami i garnizony niemieckie w Słowacji, to wzięcie Polski w wielkie nożyce sięgające od Prus Wschodnich do południowych stoków Karpat. Gdy w roku 1939 zakończona została operacja hiszpańska, a więc gdy otoczono militarnie Francję, gdy zakończona została operacja czechosłowacka, a więc gdy otoczono militarnie Polskę, od nieformalnej i utajonej wojny można było przejść do wojny jawnej.

Dziś, w dziesiątą rocznicę hiszpańskiej rewolty, nasuwa się pytanie: dlaczego demokracje patrzyły na to bezczynnie? Dlaczego Hitler i Mussolini bez skutecznych protestów demokracji mogli zajmować w czasie pozornego pokoju wszystkie pozycje wypadowe dla przyszłej wojny, dlaczego demokracje pozwalały na kolejne niszczenie swych przyszłych sojuszników (tak samo zresztą było w czasie wojny: państwa początkowo neutralne patrzyły bezczynnie, jak Hitler zagarniał jedno po drugim)?

Nie lewicowcy lecz umiarkowani publicyści francuscy wskazali na przyczynę już w roku 1938, po Monachium. „W klasach zwanych konserwatywnymi, wielu sądziło, że niebezpieczeństwo socjalne jest groźniejsze od niebezpieczeństwa niemieckiego, że na pań-

stwa totalne należy patrzeć jak na zabezpieczenie przed Moskwą że Adolf Hitler i Benito Mussolini są obrońcami naszej cywilizacji i że wojna przeciw nim pociągnęłaby za sobą nieodwracalny przewrót socjalny“ (Perfinax w „L'Europe Nouvelle“ 4 września 1938). „Feudalizm finansowy i przemysłowy, powstały z ducha klasowego i z chęci zysku, prowadził w naszej demokracji grę defetystyczną. Ucierpiałby on na upadku Mussoliniego i Hitlera, których — moim zdaniem — zupełnie niesłusznie uważał za palladium konserwatywnego społeczeństwa“ (Emil Buré w „Ordre“, 4 października 1938). Prawica społeczna wysunęła w okresie międzywojennym zagadnienia wewnętrzno-polityczne przed zagadnienia międzynarodowe, zagadnienia obrony własnej pozycji społecznej przed zagadnieniem obrony własnej ojczyzny. Wolała aprobatę gwałtu, jeśli wychodził od prawicy, niż obronę prawa, jeśli to prawo mogło pomóc lewicy. Agresor mógł być pewny tolerancji z ich strony, wszak był „dobrze myślący“. Nic przeciw Włochom — bo Włochy to faszysty. Nic przeciw Niemcom — bo Niemcy to hitlerowskie „państwo narodowe“. A Hitler wiedział to dobrze. Wiedział, że ten kompleks obawy przed lewicą przetrwa i wybuch wojny. Wszak mówił do Rauschninga: „Możesz mi wierzyć: wejść do Francji jako oswoobodziciel. Zaprezentujemy się francuskiemu drobnomieszczaninowi jako obrońcy porządku społecznego“.

Maurice Thorez pierwszy nazwał to po imieniu: „nowa Koblencja w służbie Hitlera“. Upadające warstwy społeczne, upadające systemy gospodarczo-socjalne, są zawsze gotowe do porozumienia z wrogiem zewnętrznym, jeśli to może opóźnić ich upadek, są zawsze gotowe do rezygnacji z niepodległości, jeśli to może zachować ich pozycję społeczną. Arystokraci francuscy woleli w roku 1792 najeżdżać Francję jako sojusznicy cesarza Niemiec niż bronić Francji przed Niemcami. Wielcy gascyńskiego świata woleli przed rokiem 1939 oddać Hitlerowi kraj po kraju, a po roku 1939 pomagać mu w eksploatacji swych własnych ojczyzn. Problem Hiszpanii był tylko jednym z objawów tego samego zjawiska. Oligarchia finansowo-przemysłowa wolała klęskę ojczyzny niż klęskę własnej warstwy. To nie proletariatus „nie miał ojczyzny“ w latach 1931—1945, to wielki bankier, wielki przemysłowiec nie miał wtedy ojczyzny, to jego międzynarodówka tworzyła zwarty front przeciw własnym społeczeństwom w tak wielu krajach Europy. Gdy zaś zrozumiał, czym to także i jemu grozi (o ile w ogóle rozumiał), było już za późno. Problem Hiszpanii uczy, ile kosztuje społeczeństwa zrozumienie pewnych rzeczy za późno.

Konstanty Grzybowski

Książka o wychowaniu dziecka

Stefan Szuman. Psychologia wychowawcza wieku dziecięcego. Podrecznik dla matek i wychowawczyń w przedszkolach i domach dziecięcych oraz dla nauczycieli i studentów, studiujących rozwój psychiczny dziecka. Warszawa. „Nasza Księgarnia“, 1945; str. 189 i 3 ni.

W wychowaniu, zwłaszcza domowym, panuje niepodzielnie rutyna. Wzorem jest postępowanie wychowawcze, stosowane w domu rodzicielskim. Matka, babka, prababki — ich głos spoza grobu decyduje często o tak ważnej kwestii, jaką jest przygotowanie dziecka do przyszłego życia w społeczności ludzkiej. W takich warunkach trudno wychować nowego człowieka, gdyż wszystkie wysiłki reformatorów rozbitają się o konserwatywizm przepojone wychowanie domowe. Jak temu zaradzić? — Maria Librachowa domaga się na łamach „Nowej Szkoły“ zorganizowanego na wielką skalę kształcenia tych, którzy wychowują przyszłe pokolenia, więc również matek. Od strony praktycznej ujmuje to zagadnienie prof. Szuman: wydał książkę, opracowaną specjalnie z punktu widzenia potrzeb matek i wychowawczyń w przedszkolach.

Lata przedszkolne w życiu dziecka są okresem, w którym psychika ludzka rozwija się najsilniej. Umysł dziecka posiada wielką ilość podstawowych wiadomości i doświadczeń. Są psychologowie, którzy uważają, że ten właśnie okres jest decydującym w kształtowaniu się charakteru człowieka. Mądrość ludowa ufała to w przysłowiu: „Czyży skorupka za młodu nastąpi, tym na starość trafi“. Prof. Szuman z naciskiem podkreśla, że jakkolwiek człowiek uczy się przez całe życie, to jednak najwiecej i najintensywniej uczy się, rozwija i kształci w latach dziecięcych i w okresie młodości — i dlatego okres ten zasługuje na szczególną uwagę psychologów i wychowawców.

Najważniejsze zagadnienia, związane z wychowaniem dziecka, są w książce omówione w sposób bardzo interesujący i poparte przykładami przede wszystkim z życia ówczeski prof. Szumana. Takie np. zagadnienie zabawy: dziecko się bawi? Dlaczego tyle czasu na to poświęca i dlaczego tyle zużywa energii? Bo zabawa zaspokaja jego pragnienie działania i poznania rzeczywistości. Naukowa teoria zabawy powstała dopiero z końcem XIX i początkiem XX wieku. Na podstawie licznych badań stwierdzono, że bawiac się, dziecko się uczy, rozszerza swe doświadczenia i rozwija sprawność swoich funkcji psychicznych.

Obszernie są też omówione takie zagadnienia, jak rozwój mowy dziecka, twórczość rysunkowa, opowiadania i bajki, rozwój orientacji w czasie i kształtowanie się pojęć liczbowych, wyobrażenia o przyszłości i martwej, rozwój uczuć, woli i współżycie z ludźmi. Prof. Szuman nie pomija takich np. drobnych na pozór kwestii jak humor i żart w życiu małego dziecka, wiara w magiczne siły przyrody itp. Dużo miejsca poświęca wyjaśnieniom, jak praktycznie rozwiązywać zagadnienia wychowawcze. Tak np. daje wskazówki, jak opowiadać dzieciom bajki, w jaki sposób odpowiadać na pytania, jak rozwijać zdolności rysunkowe.

Określenie książki w podtytułe jako „podrecznik“ może wprowadzić w błąd. Jest to raczej opowiadanie, zdające w kierunku pokazania dziecka żywego, dziecka reagującego na wszystko, co je otacza; jest to biografia dziecka, zilustrowana fotografiami i licznymi wypowiedziami dostojnymi, zgromadzonymi przez autora, jego żonę i licznych współpracowników. Czyta się tę książkę nie jak podręcznik, lecz jak interesującą opowieść o dziecku, które się bawi, zadaje kłopotliwe pytania, które z dniem każdym wzbogaca swą mowę i rozszerza wiadomości o świecie. Tego rodzaju „podrecznik“ nie było dotychczas w naszej literaturze. Były przyczynki, były studia, były „psychologie“ i „pedagogie“ — nie było naukowego przewodnika, który by łączył teorię z praktyką, na wzór tych badań oparte wskazywał. Rutyna wychowawcza znalazła w książce prof. Szumana zdecydowanego przeciwnika.

Stanisław Nowaczyk

IRENA BAROWA

Serce Gdańska

Niepomyślne wiatry, ale błogosławiona fala zagnała do Gdańska w r. 1591 włoskiego rozbitek, który miał dwie pasje w życiu — bibliofilstwo i reformację. Za posłuch dany nowinkom religijnym Giovanni d'Oria odpokutował wygnaniem z Neapolu i trzydziści pięć lat trwającą tułaczka. Miłość jego do ksiąg i skrzętne ich zbieranie sprawiły natomiast, że mógł spokojnie dokonać reszty żywota, gdyż senat gdański ofiarował na pół osłepiemu starcowi, w zamian za księgozbiór ocalały z awarii, kąpiel ciepłą w klasztorze franciszkański i utrzymanie wartości złotego guldena tygodniowo.

Zawierając w r. 1596 tę transakcję, bankierzy i kupcy, właściciele spichrzów zbożowych i ozdobnych domów przy ul. Długiej czy Szerokiej, kierowali się chrześcijańskim miłosierdziem i dobrym sercem, ale wykazali również duże zrozumienie dla wartości kulturalnych, skoro i później konsekwentnie sprawowali mecenat nad książnicą.

Takie były narodziny Biblioteki Miejskiej w Gdańsku, otwartej jak opiewa akt fundacyjny „szkołom ku ozdobie, miastu dla upiększenia, uczącym się dla zachęty i korzyści”. W ciągu wieków księgozbiór rozrastał się i pomnażał dzięki licznym ofiarodawcom i poważnym zakupom. Bogate miasto nie szczędziło pieniędzy na utrzymanie biblioteki.

W XVI w. zakupiono zbiory po trzech uczonych: prawniku Lemkem, po kaznodziei od św. Barbary, A. Glaserze i historyku M. K. Schützu, a w następnym stuleciu zakupiono i bibliotekę kaznodziei Nigrinusa i zbiory księgarza Krauzego. Uporządkowanie zbiorów, jak również znaczne ich pomnożenie zawdzięczała Biblioteka Gdańska dwu braciom-bibliotekarzom: Adrianowi i Beniaminowi Engelcke. Pierwszy sporządził katalog rzeczowy, a tak był zapamiętały w pracy, że nieraz wśród niej o pożywieniu zapominał, on też uczynił hojny zapis własnego księgozbioru na rzecz Biblioteki. Bogaty dar złożył również radca W. Schlieffen, doskonały znawca historii Gdańska i tzw. Prus Królewskich.

Nic tedy dziwnego, że z początkiem XIX wieku biblioteka liczyła 26 tysięcy tomów. W tym czasie, bo w r. 1817, miał wielką ochotę poznać jej zbiory znany pisarz, zamiłowany podróżnik i niestrudzony bibliofil, Julian Niemcewicz, ale Gdańsk nie otrzymał się jeszcze po oblężeniu w r. 1813. „Dziś zabroniony przystęp do ksiąg, leżą one w jednej z sal dzisiejszego szpitala, zwalone na kupę, równie pono pokaleczone, jak i żołnierze co obok nich jęczą” — zapisał Niemcewicz. W Oliwie też nie miał szczęścia do księgozbioru; stwierdził tylko, że „w jednej z kaplic kościoła zamknięta pod kluczem, w nieporządkach stosach biblioteka klasztorna, od czasów oblężenia nie ułożono jej dotąd. Ileż tam skarbów dla dziejów naszych! Przystęp do nich wzbroniony”.

Skarby, o których daremnie marzył Niemcewicz, stały się obecnie dostępne.

Biblioteka Miejska w Gdańsku obchodziła w dniu 22 czerwca br. 350-lecie swego istnienia, a zarazem uroczystość otwarcia po wojnie. Uroczysta akademii zebrała w Ratuszu Staromiejskim przedstawiciele władz państwowych i samorządowych, oraz liczny zastęp bibliotekarzy z całej Polski. Moment był podniosły i niepowszedni.

Gdańsk dzisiejszy zwrócił uwagę nie na wspaniałe niegdyś dworzyszczka, zadziwiające kunsztownością wioskiej i flamandzkiej architektury, nie na obszerne i wyniosłe choć zrujnowane świątynie gotyckie, ale na port i bibliotekę.

Dawną Polskę, powiedział ktoś nie bez racji, łączyła z Gdańskiem kieszeń, nie serce i głowa. Szlachta zjeżdżała tutaj, by sprzedawać zboże, zgarniała, lub wydawała pieniądze na zamorskie towary i znikła w kilka niedziel. Magnaci, którzy pałacami i zamkami zabudowywali wschodnie i zachodnie rubieże Rzeczypospolitej, nie kwapili się jakoś, by w portowym Gdańsku, u ujścia Wisły zakładać i utrzymywać rezydencje. Wyjątek stanowi marszałek wielki koronny Mniszech, który około 1750 r. wybudował sobie piękny rokokowy pałacyk za Mołtawą, ale mieszkał w nim tylko jeden dzień; w r. 1786 kupiec Rottenburg nabył tę pańską rezydencję i gruntownie ją przebudował.

A przecież w cieniu kamiennych orłów polskich, zdobiących bramy i wiele budowli Gdańska, handlarze drzewem, pszenicą, czy śląskimi płótnami, kaznodzieje protestanckich zborów, nauczyciele i księgarze, którzy, wydając się może, dla interesu posługiwali się językiem polskim, gromadzili po swych prywatnych bibliotekach nie tylko książki dotyczące Polski, ale i polskie dzieła literackie, historyczne i publicystyczne. Polska literatura, nauka i kultura miały więc siłę atrakcyjną i mimo krzyżackich zakusów, mimo dążeń do bezwzględnej spruszczenia Gdańska, pasjonowały gorętsze serca i bardziej otwarte umysły.

Polskość dawnego Gdańska objawia się nie tylko w okolicznościowych manifestacjach podczas których nasi królowie. rezy-

dujący w apartamentach Zielonej Brazy, przyjmowali hold od mieszczan gdańskich, ale w mnogości druków polskich, które wyszły z gdańskich oficyn; literatura polska z Kochanowskim, Klonowiczem, Bielskim, Szymonowiczem, czy Krasickim na czele, docierała tutaj, bawiła i kształciła, budziła przywiązanie do Polski. Rodzina Uphagenów, Flamandów w Gdańsku osiadłych, zgromadziła wspaniałą bibliotekę, a w niej wiele cennych ksiąg polskich. Po rozbiórce Polski Jan Uphagen nie chcąc służyć Prusakom złożył godność rajcy miejskiego. Rodzinny księgozbiór Uphagenów otrzymała Biblioteka Miejska w Gdańsku.

Biblioteka ta, dotąd niemal niedostępna dla polskich badań, ma dziś wszelkie dane, by stać się warsztatem pracy, która rzuci nowe światło na związki Gdańska z Polską. Biblioteka stanowi żywy dowód, że nie jesteśmy tu obcy, że polska nauka i kultura rozmyślnie tłumione i pomniejszane przez krzyżackich przybłędów wrażały w ciągu wieków w wybrzeże Bałtyku.

Miejska Biblioteka w Gdańsku, licząca obecnie 250 tysięcy tomów, posiada mnóstwo, bo 2500 cennych i rzadkich dokumentów druków polskich, nie notowanych nawet w „Bibliografii” Estreichera. Warto wymienić chociażby księgozbiór ostatniego nauczyciela języka polskiego w gimnazjum gdańskim, Krzysztofa Celestyna Mrongoviusa, zmarłego w r. 1855, liczący około tysiąca tomów z zakresu literatury polskiej i językoznawstwa!

W PRACOWNIACH PISARZY I UCZONYCH*)

Ankieta „Odrodzenia”

Witold Staniewicz: Pracuję obecnie nad studium o deflacji polskiej w latach 1929—1935; jednocześnie wykażam do druku pracę o potrzebie ujednostajnienia terminologii używanej w ekonomii rolniczej, oraz wiele innych mniejszych prac. A mianowicie: „O niepodzielności gospodarstw wiejskich”, „O rejonizacji kultur rolniczych w Polsce”, „O międzynarodowych organizacjach rolniczych” i parę innych krótkich monografií dotyczących działalności wydziału ekonomiki drobnego gospodarstwa wiejskiego Państwowego I. G. W. P. oraz wydziału rolnego w Wilnie.

W czasie okupacji przygotowałem materiały do 2 większych książek: „Długa Rzeczpospolita 1918—1939” i „Spór polsko-litewski o Wilno 1919—1939”. Niestety uległy one zniszczeniu. Próbuje je obecnie odtworzyć.

Zamierzam wreszcie napisać dwie większe prace „O problemie agrarnym w Polsce” oraz „O polskiej polityce agrarnej”, porównując ją z polityką agrarną naszych sąsiadów ze wschodu i zachodu. Myślę też o napisaniu mych wspomnień.

Grzegorz Timofiejew: W najbliższym czasie nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Książka” ukaze się dość obszerny tom moich wierszy pt. „Kamieniolom”. Będą to utwory pisane w latach 1940—42 w okresie mojej pracy konspiracyjnej w Łodzi oraz w latach 1943—45 w obozie koncentracyjnym Gusen k. Mauthausen. Za wiersze obozowe otrzymałem w Gusen na tajnym konkursie literackim (mieliśmy w Polacy — własne życie kulturalne, oczywiście zakonspirowane) — pierwszą nagrodę.

W Spółdzielni Wydawniczej „Wiedza” złożyłem do druku wybór poezji pt. „Najbliższe”. Wybór ten zawiera wiersze z pierwszego mego tomiku „Nie ma mnie w domu” i z następnych „Inny horyzont”, „Chwile liryczne” oraz „Najbliższe” (dwa ostatnie miałem wydać krótko przed wojną). W zakres omawianej książki wejdą też wiersze wojenne, wydane konspiracyjnie w Łodzi w r. 1942 jako „Śpiew w podziemiach”, oraz współczesne.

Dla jednego z wydawnictw warszawskich wykażam zbiór felietonów pt. „Ludzie zza drutów”. Są to fragmenty moich przeżyć w obozie Gusen.

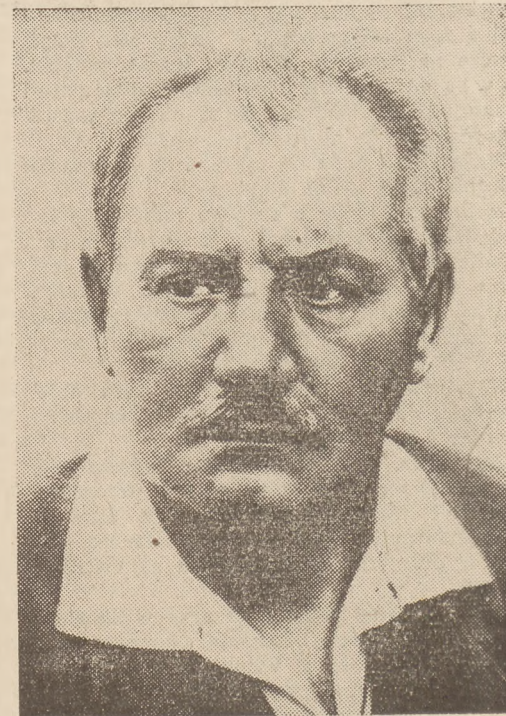
*) Por. odpowiedzi w nr. nr. 68—87 „Odrodzenia”.

Chociaż Niemcy wywieźli główną część inkunabułów, pozostało i tak wiele jeszcze tych wspaniałych okazów początków sztuki drukarskiej, pozostały także wartościowe rękopisy, dyplomy i dokumenty.

Jeszcze we wrześniu ubiegłego roku księgozbiór był bezładną kupą książek, a gmach biblioteki pozbawiony dachu i szyb w oknach, z wcale potężnymi wyrwami w ścianach od pocisków wyglądał bardzo żałośnie. Wiatr hulał w magazynach, a w czasie deszczu woda przesączała się przez sześć pięter na książki i rękopisy, przywalone gruzem i niewypalonymi granatami. Nie zrażało to pracowników biblioteki — przejęci entuzjazmem swego dyrektora dr. M. Pelczara, który ruchliwością, zapobiegliwością i wytrwałością dawał dobry przykład, przez całą jesień i zimę, nie zważając na chłód, wilgoć i mróz, porządkowali księgozbiór. I dopięli swego, mieli się czym popisać przed kolegami z największych i najważniejszych bibliotek polskich. Mimo nawału pracy stać ich było jeszcze na zorganizowanie ciekawej wystawy ocalałych zbiorów.

Pięknie iluminowane rękopisy średniowieczne, skórzane oprawy z charakterystycznymi okuciami, wreszcie ciekawostki bibliofilskie, jak autograf-rękopis Lutra, czy protokoły sądowe komturstwa krzyżackiego w Gdańsku z lat 1368—1410 na woskowych tabliczkach, rozmaitość druków polskich, to jeszcze nie ostateczny bilans polskiej kultury i książki nad Bałtykiem.

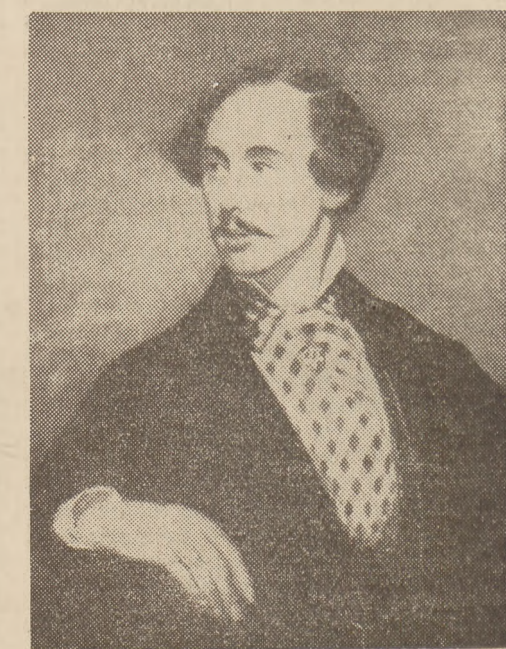
KRONIKA ILUSTROWANA



JAN KASPROWICZ
zmarł przed dwudziestu laty, dnia 1 sierpnia 1926 r.



EUGENIUSZ EIBISCH
otrzymał nagrodę plastyczną miasta Krakowa za rok 1946.



CHARLES DICKENS
Reprodukcja mało znanego portretu Dickensa z czasów jego młodości, pędzla Stephen Humble.



VIRGINIA WOOLF
znakomita powieściopisarka angielska, zmarła w okresie wojny.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA »CZYTELNIK«

WYDAWNICTWA NUTOWE

BIBLIOTEKA AMATORSKICH ZESPOŁÓW MUZYCZNYCH

RACZKOWSKI WŁADYSŁAW — Przejdzim Wisłę, przejdziem Wartę... Zbiór pieśni okolicznościowych na chór 1, 2, 3, lub 4-ro głosowy z akompaniamentem fortepianu str. 24 cena 90 zł

BACEWICZÓWNA GRAŻYNA — Ze starej muzyki — wybór utworów autorów z XVIII w. na mały zespół orkiestrowy (piano conductor i głosy orkiestrowe) str. 40 cena 200 zł

RUDZIŃSKI WITOLD — Na serdeczną nutę (suity na mały zespół orkiestrowy — piano conductor i głosy) str. 20 cena 125 zł

PANUFNIK ANDRZEJ — Marsz Jaworzyński na mały zespół orkiestrowy (piano conductor i głosy) str. 24 cena 140 zł

W druku: **SZELIGOWSKI TADEUSZ** — Siadajcie wszyscy wokół z nami — suita na chór. **SIKORSKI KAZIMIERZ** — Uwerlura. **SIKORSKI KAZIMIERZ** — Obrazki wiejskie. **BACEWICZÓWNA GRAŻYNA** — Pod strzechą (na mały zespół orkiestrowy)

W przygotowaniu utwory: Kasserna, Kisielewskiego, Lutosławskiego, Mycielskiego, Palestra, Wiechowicza, Wilkomirskiego i innych

BIBLIOTEKA SZKOŁY UMUZYKALNIĄCEJ (WYDAWNICTWA PEDAGOGICZNE)

Wybór łatwych utworów klasycznych dla początkujących pianistów — opracowała **EMMA ALTBERG** str. 38 cena 120 zł
Łatwe utwory na cztery ręce (Diabelli, Weber, Beethoven i inni) — opracowały **EMMA ALTBERG** i **ZOFIA ROMASZKOWA** str. 58 cena 250 zł

BROMIŃSKA ANNA — Szkoła na harmonię (akordeon) str. 52 cena 250 zł

MARKIEWICZÓWNA WŁADYSŁAWA — Do - re - mi - fa - sol. Nowoczesna szkoła na fortepian str. 70 cena 230 zł

POPLAWSKI MARCELI — Łatwe utwory na skrzypce z akompaniamentem fortepianu (I-sza pozycja) str. 40 cena 190 zł
Zbiór etud dla pierwszych dwóch lat nauki gry na fortepianie — opracowała **ZOFIA ROMASZKOWA** str. 48 cena 140 zł

W druku: **Cukierówna Maria** — Pieśń dla dzieci (jednogłosowe). **W przygotowaniu:** Wybór etud skrzypcowych dla początkujących — opracowała **Irena Dubiska**. 313 wprawek na fortepian, opracowały: **Emma Altberg** i **Zofia Romaszkowa**. Szkoła czytania nut — opracowali: **Jan Hofman** i **Adam Rieger**.

Do nabycia we wszystkich księgarniach. — Skład główny: wszystkie oddziały »CZYTELNIKA«

Przegląd prasy

Cała niemal prasa demokratyczna zamieściła oświadczenia pracowników kultury w związku z wydarzeniami w Kielcach. Równocześnie „K u z n i c a” (nr 29) piórem ph. zapytała wprost: „Dlaczego milczą pisarze katolicyści?“, dlaczego milczą czasopisma katolickie? Milczenie to zostało przerwane.

Z deklaracją ideową wystąpił „Tygodnik Powszechny” (nr 29). Nie powinna ona zostać bezgłosna, zbyt wiele bowiem wstępne, surowe potępienie zawiera zastrzeżeń i prób zwększenia sprawy na boczne tory. „Tygodnik Powszechny” oświadczył np.: „Zbrodnia została potępiona przez cały naród”. Twierdzenie niesłuszne: są niestety, i ważne, ośrodki w narodzie, które pogromu kieleckiego nie potępiły lub potępiły cum reservatio mentalis; czy mamy je wymieniać po imieniu? Wspaniała tradycja tolerancji, na którą powołuje się „Tygodnik Powszechny”, nie obojętnie od czasu reakcji katolickiej XVII w. i „Tygodnik Powszechny” wie o tym chyba dobrze. Twierdzenie o wyjątkowości zjawiska kieleckiego, też niestety (po raz trzeci), ostać się nie może. Przeczy temu krwawa statystyka pomordowanych Żydów, podająca co tydzień nazwiska nowej ofiary lub ofiar. Wreszcie: wina lokalnych władz bezpieczeństwa w Kielcach jest niewątpliwa; ale stawianie jej na równym poziomie z winą organizatorów i sprawców pogromu jest zwężeniem właściwych proporcji: zbrodnię zjednostki z MO i UB ostatecznie tylko — skorzwały z okazji.

Ku końcowi wychodzi sztywność z worka: „Im większa będzie rola Kościoła w wychowaniu młodzieży, tym większa gwarancja, że wypadki w rodzaju zbrodni kieleckiej pozostaną smutnym wyjątkiem”. A przecież wiemy, że największy i najostrzejszy antysemityzm lagł się po kolegiach jak np. w Chyrowie i właśnie wychowana przez kler młodzież głosiła najgoręcej hasła przytyckie i numerus nullus. Tak to się już składało, że we Francji Maritain potępiał gen. Franco, a w Polsce ślubowaniom jasnogórskim obowiązkowo towarzyszyć musiały hece antyżydowskie.

W 30 numerze „Tygodnika Powszechnego” ukazało się następnie krótkie, poważne „Oświadczenie” pisarzy katolickich (podpisane przez 24 osoby), apelujące i potępiające bez zastrzeżeń.

„Dziś i Jutro” (nr 28) przyznało, że „nie ma dwóch moralności” i że „na katolikach ciąży obowiązek konsekwentnego ustosunkowania się do zagadnienia walki z przejawami nienawiści rasowej”; to już słuszniejsza: forma postulatów, nie stwierdzenia. Ale znakiem zapytania opatrzone czytelnik zdanie, że „ta część społeczeństwa polskiego, która jest prawdziwie katolicka, specjalnie rozumie i specjalnie ocenia zbrodnię popełnianą na Żydach”, a tym bardziej „pewnik, że w okresie wojny katolicy byli pierwszymi, którzy w sposób czynny podjęli walkę z niemieckimi zarządzeniami eksterminacyjnymi w stosunku do Żydów”. Tego rodzaju twierdzenia, bez należytego poparcia ich dowodami, stają się czekami bez pokrycia. Prawda, wiemy, jest inna, katolicy zdobywali się raczej na bierne współczucie Żydom, czynnej pomocy udzielały im częściej środowiska lewicowe (dowody na to są). Inaczej było może we Francji, ale różnicom pomiędzy polskim a francuskim klimatem nikt nie zaprzecza.

Z innych czasopism katolickich zwrócić uwagę (przynajmniej przez dwa tygodnie) milczenie „Tygodnika Warszawskiego” i „Odry”, tym bardziej charakterystyczne, że odezwała się nawet „Niedziela”. Zainteresowała ją „komu zależało na sprowokowaniu zbrodni” i „z jakich sfer społecznych i ideowych ludzie brali w niej udział”. „Na pewno nie było tam katolików czynnych, praktykujących” makabrycznie żartuje „Niedziela”.

Z czasopism demokratycznych, „Wiesć” posłusznie się tylko cytatał, „K u z n i c a” (nr 28) ogłosiła mocny, napisany z tą namietnością, której temat istotnie wymaga, apel **Margala** w ogólnej sprawie antysemityzmu, najzupełniej słuszny w diagnozie i charakterystyce stanu faktycznego — słuszny nawet, i właśnie, w swoich najostrzejszych sformułowaniach — chybający jednak, gdy gorzki zarzut zlego milczenia kieruje pod adresem literatów i poetów („milczenia, świetnie wpływającego na rozwój antysemityzmu”).

Pisarze nie milczą. Każdy szanujący się pisarz i publicysta polski w dostępnej mu prasie nie raz i nie dwa zabierał głos w kwestii żydowskiej, potępiając co winno być potępione, i rozważając konkretne sposoby zaradzenia złu. To małe? Cóż może więcej uczynić pisarz? Działa w Lidze do Walki z Rasizmem, po imieniu nazywa winnych i po imieniu wzywa do czynu tych, którzy grzeszą bezczynnością. Nie usuwa się od żadnej odpowiedzialności. Pomocy więc, o jaką chodzi Margalowi, udziela w pełni swych sił. Zaś wykonanie, to już nie jego kompetencja. „Przemówić trzeba szybko” — strofuje Margal. Pisarz polski przemawia od dawna, nie o jego już dziś słowo chodzi, choć słowo to stało się słowem tych, którzy milczą lub mówią półgłosem lub mówią w bok, by wiatr rozwiał słowa.

Powracając do zagadnień katolickich i biorąc pod uwagę rozpiętość społecznego stanowiska prasy katolickiej, sięgając od „Rycerza Niepokalanej” do „Dziś i Jutro”, zauważamy — rzecz charakterystyczną — że o ile prawego skrzydła naczelne czasopisma katolickie nigdy nie atakują (co najwyżej: zbywają milczeniem), o tyle skrzydło lewe, które o sobie powiada, że wyraża program katolicyzmu radykalnego, jest nieraz wystawione na ataki a często na uszczypliwości i uktucia szpilką. „Z n a k” (nr 1) przytoczył nawet, że „Dziś i Jutro” uważa wprawdzie wielu w obozie katolickim za awangardę, ale wielu innych za „konia trojańskiego”. Ostre uwagi mają sypią i inni. Ciężka doła **ks. Henryka Weryńskiego** (niechże nie przeczy) jest równocześnie przykładem, jakie trudności spotykają na swej drodze wolontariusze, usiłujący kroczyć nieco mniej z prawej strony. Toteż za objaw znamienny należy uważać atak „Tygodnika Warszawskiego” (nr 29) na tzw. katolicyzm konsumcyjny, pod którym to określeniem p. **Zofia Ogulewicz** rozumie „katolicyzm jałowy, negatywnie krytyczny”. Autorke ogromnie oburzają zaznaczające się w tym katolicyzmie (dlaczego konsumcyjnym, skoro pełnym krytycyzmu?) różne wady jak np. „wciąż jeszcze niedostateczne przepojenie życia liturgią”. Szczególnie gniewa ją, że „katolicyzm konsumcyjny nie zna dziecięcej miłości ku osobie Namiestnika Chrystusowego, ku Stolicy Apostolskiej... że dla niego Rzym to tylko polityczna stolica obcej potęgi, a nie dom ojca”. Bardzo ortodoksyjny końcowy wniosek świadczy, że próby wszelkiego autorytetu katolików radykalnych znajdują ostre sprzeciwy nie tylko w katolicyzmie użytkowym i dewocyjnym, ale również w tych sferach, które wydają się być najwięcej miarodajne.

Jeszcze parę zdań o „Życiu Literackim”. Dwutygodnik ten, przez zwolenników wymieniany przed rokiem obok „Odrodzenia” czy „Kuźnicy”, zeszedł dziś na ubocze, na którym trudno się dopatrzeć sensu jego dalszego istnienia. W każdym razie nie jest on ani czasopismem regionalnym jak „Arkona”, ani społeczno-politycznym jak „Odra”. Pułstym, bezbarwnym, prowincjonalnym w twórczości oryginalnej i prozie krytycznej, pełnym luzu i dziur ostatnim numerem „Życia Literackiego” nie polepsza opinii szkic **K. W. Zawdzińskiego** o poezji polskiej w 1945 r. Ten wybitny krytyk był zawsze zabawny w swoim zacietrzewieniu i uporze zwalczania awangardy, ale równocześnie żarliwość z jaką wielił Skamandrytów w ogóle a Słonimskiego w szczególności — pociągała. Dziś słowa gorące oziębiły, a słowa sprzeciwu przeszły w nieszkodliwe zrzedzenie. Według Zawdzińskiego można u nas obecnie zauważyć „dalszy spadek autorytetu awangardy wśród elity umysłowej, dalsze uświadomienie jej charakteru nieudanego eksperymentu u nas, a nieświadomej kontynuacji łańcucha mistyfikacji bohemy artystycznej w konfrontacji z jej zagranicznymi źródłami”, na korzyść awangardy

wciąż działa tylko „snobizm mody i niezrozumiałość”; natomiast „prawdziwa poezja żyje na uboczu” (Koloniecki, Bąk, Ozóg, Huszcza, Bratny). W tymże numerze „Życia Literackiego” dziwaczne uwagi **Heleny Wielowiejskiej** o Jalu Kurku. Wielostowiu Kurka wprawia Wielowiejską „ściśłą dyscyplinę: nie więcej ponad to co jest konieczne, niezbędne” i nazywa autora „poetą bardzo nowoczesnym”. Czy to genius loci przemówił przez krakowską pisarkę, czy też zasada: kiedy wejdiesz między wrony...?

Na zakończenie — słowo o „Zaraniu Śląskim”. Ten kwartalnik, od 17 lat wydawany przez Instytut Śląski w Katowicach (red.: **Roman Lutman**), zarówno wartością treści jak szatą graficzną (bardzo dobre ilustracje na kredowym papierze) przoduje śląskim wydawnictwom regionalnym i publikuje najwięcej naukowego materiału do poznania spraw śląskich. W pierwszym półroczniku z br. szereg rozpraw przynosi cenne przyoczki historyczne i współczesne, szczególnie prace **Henryka Barycza** („Uniwersytet wrocławski w przeszłości i teraźniejszości”), **Zygmunta Izdebskiego** („Podstawy weryfikacji ludności na Śląsku Opolskim”) i **Antoniego Wrzosa** („Nowe ziemie Śląska jako teren turystyczny”). „W obronie śląskich nazw miejscowych” wystąpił **Witold Taszycki**: temat ważny, bo istotnie to, co się wyrabia w zakresie nazewnictwa na Śląsku przechodzi wszelkie wyobrażenia. Grzech pierworodny wynika tu z oparcia się o fantazję toponomastyczne ks. Kozirowskiego, które wiele osób najlepszej woli uznało za ewangelię, a które są spóźnionym echem tej domorosłej etymologii, jaka szalała w ub. wieku. Do tego mylnego założenia dołączyły się osobiste zapędy rozmaitych niepowołanych „chrzcicieli” — jako rodzic kilkudziesięciu nowych nazw w Tatrach wiem z własnego doświadczenia, jako to frajda być ojcem chrzestnym nowej nazwy. Skutek? Setki i tysiące dziwolągów imienniczych, których rząca przykłady wylizca Taszycki. Ale i komisja ustalająca śląskie nazwy miejscowe nie zawsze ma szczęśliwą rękę, bo jej to, jeśli się nie myle, zawdzięczać należy takie niepotrzebne przeróbki jak przemianowanie Solic na Szczawno-Zdrój albo Karpacza na nieszczęsne Drogosławice.

W kronice „Zarania” interesujące szczegóły o muzeum i bibliotece miejskiej w Gliwicach. Wzmianka, że w 1935 r. przy gruntownych, hitlerowskich czyszkach kulturalnych zarządzono również usunięcie powieści Karola Maya, „ulubionej lektury robotnika śląskiego”. polega chyba na nieporozumieniu. Karol May był bowiem ulubionym pisarzem również — Adolfa Hitlera, czemu Hitler dał wyraz, mówiąc kiedyś o pedagogicznych wartościach lektury Maya dla germańskiej młodzieży (nie znaczy to bynajmniej, by należało Maya usunąć z polskich bibliotek; ten liberalny Niemiec odznaczał się postawą humanitarną, której dawał wyraz w swoich licznych awanturnych powieściach).

Jaszc

Sprawy angielskie

W cyklu „The British People — how they live and work” wysła między innymi z druku broszura „University students”. Broszura ta, pięknie ilustrowana, jest raczej powierzchownym przewodnikiem po życiu uniwersyteckim w Anglii niż dokładnym o nim informatorem. Ale też dlatego jest lekkostrawna i pozwala pewne fakty łatwo zapamiętać. Np. to, że Anglia ma 11 uniwersytetów, Szkocja cztery, Walia jeden, Irlandia jeden, w sumie siedemnaście. Cyfra imponująca i ma swoją wymowę kulturalno-społeczną. Kraj o 17 uniwersytetach jest na pewno bardziej cywilizowany niż kraj, który ma ich 6. Studentów jest ogółem 49.000 — personelu profesorskiego 4.600.

Z grubsza biorąc w Anglii są dwa typy uniwersytetów. Stare z klasyczną tradycją wychowania (kładą głównie nacisk na teorię i na typ kontemplacyjny) i nowoczesne, których zadaniem jest wykształcenie technicznie uzdolnionych praktyków z zakresu medycyny, inżynierii, handlu, przemysłu i administracji. Do pierwszej grupy należą: Oxford, Cambridge i St. Andrews, do drugiej Manchester. O tych właśnie czterech uniwersytetach mówi broszura i wybróć taki wydaje mi się słuszny.

Cambridge i Oxford, to uniwersytety arystokratyczne z opłatą 225 funtów za sześciomiesięczny semestr. O stypendia jest bardzo trudno. Stare tam obyczaje zarówno pod względem nauczania jak i strojów. Kobiety nadal niechętnie dopuszczane są do studiów. Lecz w r. 1938 były w Oxfordzie 4 kolegia żeńskie na 22 męskich. Zaś w Cambridge 2 żeńskie na 18 męskich. Cechą wyróżniającą angielski cykl wychowawczy na uniwersytecie jest system „tutoralny”. „Tutor” to doświadczony eks-student, który po ukończeniu studiów pracuje zawodowo, a poza tym udziela co tydzień wskazówek, przydzielonych mu nowicjuszom. Ustawna kontrola nad studentem ma to do siebie, że daje mu wytyczną pracy i zmusza go do obowiązkowego składania egzaminów we właściwym terminie.

Należy pamiętać, że w Anglii niezadane jednego egzaminu pociąga za sobą usunięcie z uniwersytetu. Drugą zaletą angielskiego życia uniwersyteckiego są sporty, które konieczne należy uprawiać, jeśli się chce być „honourable”. Gorzej traktowani są ci, co wolą dyskuse na temat sensu życia niż golf lub zęglarstwo. Lecz w ostatnich dziesiątkach lat intelektualizująca się Anglia zaczyna tolerować a nawet szanować dyskutantów.

St. Andrews (Szkocja) jest jednym z najmniejszych uniwersytetów. Bibliotekę ma jednak pokazną. 30.000 tomów. Opłata całoroczna wynosi tylko 100 funtów. Kobiety spotykają się z mężczyznami na wykładach (co dla wszelkiej pewności, żeby uwierzyć, pokazuje jedno ze zdjęć). Życie towarzyskie jest dużo żywsze niż w Oxfordzie i Cambridge. Po pierwsze dlatego, że mniej jest konwencji, po drugie dlatego, że większość studentów i studentek mieszka w mieście, a nie w kolegiach. Wspaniale urządzone jest Manchester. Wychowują tam przede wszystkim techników, którzy studia odbywają w fabrykach włókienniczych, architek-tów, którzy współpracują z zarządem miasta nad planowaniem ulic i gmachów, fizyków i chemików,

Trade-Uniony walczą nie tylko o zmniejszenie ilości godzin pracy i zwiększenie płacy, lecz również o polepszenie warunków pracy pod względem higieny i bezpieczeństwa. Pertraktują one z przemysłowcami nie tylko na wypadek strajku, lecz także w sprawie zwolnień z pracy, tymczasowych lub całkowitych, czy w sprawie przygotowawczej praktyki dla niewykwalifikowanych. Główną ich zaletą jest wytworzenie poczucia solidarności. Poczucie to jest kościem kultury angielskiej. Uczy wzajemnego zaufania i wzajemnej pomocy. Poza tym starają się o stypendia uniwersyteckie dla zdolniejszych pracowników. Jednych kształcą technicznie (np. Związek Pocztovcw), innych nawet humanistycznie (Ruskin-College w Oxfordzie).

Trade-Uniony wydają swe decyzje zwykle zgodnie z przedstawicielami przemysłu. Decyzje te przejmują Królewska Komisja Rozjemcza i przekazuje parlamentowi. Tam, po procedurze określonej konstytucją, stają się one prawem państwowym. W ten sposób Trade-Uniony wpłynęły na całe socjalne prawodawstwo (nawet na ustawę o ubezpieczeniu dla bezrobotnych).

Trade-Uniony pracują oddzielnie. Dla każdej gałęzi jest osobna organizacja. Ogólna liczba Trade-unionistów w r. 1913 wynosiła 4.135.000, w 1942 — 7.781.000. Centralnym organem jest Kongres Związków Zawodowych, odbywający coroczne posiedzenia. Bierze w nim udział 700 delegatów z poszczególnych okręgów przemysłowych. W ciągu roku kongres zastępuje wybrana przezeń Rada Główna. Do niej należy aktywizacja, porządkowanie i scalanie całego ruchu zawodowego oraz łączność z zagranicznymi związkami zawodowymi.

Najciekawsze są uwagi końcowe. Zgadza się one z komentarzem E. Bevin'a napisanym w przedmowie książki: „Związki zawodowe starają się przede wszystkim o poprawę warunków pracy, o uregulowanie stosunku między pracodawcą a pracującym. Lecz nie wypełniłyby swego zadania w zupełności, gdyby się ograniczyły tylko do sektorskich interesów, i zapomniały o tym, do czego w istocie służą. Muszą być przygotowane do nowych zadań, do nowej wizji świata, który wymagać będzie nowej twórczości”. John Price pisze, jaka to będzie twórczość.

- 1) Trade-unioniści reprezentowali początkowo tylko zatrudnionych w produkcji przemysłowej. Teraz reprezentują także konsumentów.
- 2) Trade-unioniści zaczęli od agitacji we własnym kraju. Teraz łączą się z podobnymi organizacjami w USA, Kanadzie i Australii i mają delegata w Międzynarodowej Organizacji Pracy w Genewie. Celem ich jest socjalizacja całego świata.
- 3) Problem dobrobytu nie jest problemem ostatecznym. Sprawa najważniejsza to osiągnięcie wysokiego standardu kulturalnego i umożliwienie wszystkim uzdolnionym startu życiowo-ekonomicznego.
- 4) Socjalizm ma stworzyć ustrój demokratyczny, w którym wolna jednostka będzie umiała wywiązywać się z zadań wobec grupy, w której żyje.

Międzynarodowa wystawa ilustracyjnej grafiki

Pierwszy raz w okresie powojennym międzynarodowa książka ilustrowana znajduje się na wystawie, organizowanej przez Amerykański Instytut Sztuki Graficznej (The American Institute of Graphic Art). Wszystkie wybitniejsze dzieła sztuki graficznej, ilustrowane książki wydane w ciągu ostatniego dziesięciolecia — gromadzone są obecnie przez organizatorów wystawy, która zostanie otwarta w pięknym lokalu Biblioteki Pierpont Morgan Library, w Nowym Jorku.

Wielu wybitnych artystów grafików, którzy odcięci byli od świata w krajach okupowanych — nie mając możliwości urządzania wystaw, przetrucio się na ilustratorstwie. Przyjmowali oni zamówienia od firm wydawniczych i zdobili swymi arcydziełami książki, które nawet i podczas wojny docierały do wszystkich zakątków świata. Niejedną z grafików miał przynajmniej te pocieche, że tworzy jego talentu uniknęły zniszczenia i w książce dotarły do zamorskich krajów.

Na przykład znakomity malarz Picasso nie był w stanie wysłać swych nowszych dzieł do Stanów Zjednoczonych z powodu trudności transportowych i braku miejsca na okrętach pływających z Francji, za to książki ilustrowane przez niego dostały się do rąk amerykańskich miłośników sztuki.

Ujrzymy na wystawie najrozsławniejsze ilustrowane książki, będące interesującym odbiciem psychiki artystów różnych narodowości. Ich podejście do zagadnień współczesnych stanowić będzie ciekawą przyczynek do badań nad rozwojem sztuki współczesnej i wpływem wstrząsających wypadków wojennych na duszę artystów. Wystawa zbiegnie się z odbywającymi się naradami ONZ, dając możliwość przedstawicielom kilkudziesięciu narodów świata zapoznania się z twórczością artystów współczesnych.

Książki, które ujrzymy na wystawie, ilustrowane są rozmaitymi metodami — są tam drzeworyty, akwaforty, akwarele, litografie, rysunki. Wartość tych książek jest różna. Od najtańszych „dolarowych” — aż do wykwintnych i kosztownych wydawnictw, niedostępnych dla kieszonki przeciętnych czytelników. Są wśród tych książek i druki wydawane w podziemnych drukarniach i rozpowszechniane pod groźbą kary śmierci...

Inicjatorzy wystawy mieli zadanie nie lada, by skompletować zbiór najcenniejszych wydawnictw. Utworzył się przeto Komitet, na którego czele stanął dr Hellmut Lehman-Haupt, z Uniwersytetu Columbia. Komitet zabrał się do dzieła kilka miesięcy temu. Współpracują z nim znawcy sztuki ilustratorskiej, którym powierzono odpowiedzialną pracę sortowania nadesłanych książek. Trzydzieści krajów przysłało wzięcia udział w wystawie.

W związku z przygotowaniem do druku „Księgi pamiątkowej Dąbrowszczaków”, Związek Dąbrowszczaków zwraca się z prośbą do wszystkich członków, rodzin i przyjaciół Dąbrowszczaków o zbieranie wszelkich dokumentów, listów z Hiszpanii i do Hiszpanii, gazet („Dąbrowszczak”, gazetki okopowe, obozowe itp.)

Wszystkie te dokumenty prosimy przesyłać na adres Związku Dąbrowszczaków, Warszawa, ul. Mokotowska 62, lub do Łodzi na adres Zofii Szleyen, Łódź ul. Zeromskiego 1b.

Nowości wydawnicze „WIEDZY”

Do nabycia we wszystkich księgarniach
cena zł 250

Z korespondencji dr. Prota Sowizdrzała

List do obiecującego młodzieńca

Wybrał mnie pan za doradcę w sprawie pańskich studiów i lektur. Pragnie pan również posłuchać rad życiowych. Pyta pan, jak zostać najszybciej i najpewniej krytykiem literackim lub teatralnym? Jak zorientować się przedko w różnych zagadnieniach filozoficznych? Co czytać? Jak się kształcić? Jak pisać? Jak wybić się możliwie szybko? Są zachłanność treściową i formalną oszczędność usprawiedliwiona pan chęcią zamagazynowania maksimum energii duchowej i fizycznej na wypadek nowej próby dziejowej. Chce pan mieć „pełne szanse biologicznego przetrwania” w przyszłej wojnie i dlatego jedynie nie może się pan zdecydować na trudy maturalne.

Jeszcze nie odsapnąłem od nawału pańskich pytań, a już porywa mnie pan w dalszy zawrotny taniec psychologiczny, socjologiczny i polityczny, połączony z mnóstwem hołubców, co zaszczytnie świadczy o pańskiej żywości i temperamencie. Taniec nie może wszakże składać się wyłącznie z „odbijanego” i ze „zmiany dam”. Wzruszyło mnie z pańskiej strony pochlebne dla mnie zapomnienie, że od dawna przestałem być szybkobiegaczem. Zobowiązało mnie głęboko pańskie młodzieńcze zaufanie do mnie i uroczą pewność, że nadaję za panem. W rzeczy samej pańska werwa odmłodziła mnie, z żalem muszę jednak wyznać, że nie na tyle, abym bez wycieńczenia mógł dotrzymać kroku pańskiemu zdobyczewemu pochodowi w życie.

Zaledwie odzignąłem trochę, a już wyoiliły się panu nowe pomysły, plany i wątpliwości. Zakłopotał mnie pan pytaniem, czy Proust i Freud jeszcze obowiązują prozaików? Kiedy będzie wojna? Co się dziś bardziej opłaca: wiersze awangardowe czy demokratyczne? Do której partii wstąpić? Co myślę o roli rymu w poezji? Czy odkrycie energii atomowej przyspieszy proces rozrastania entropii w świecie? A wreszcie zaambarasował mnie pan nie na żarty zagadnieniem, czy lepiej mieć przyjaciela czy przyjaciółkę? Pomijam, że to brzmi dwuznacznie. Sądzę, że to jest dylemat pozorny. W życiu nie należy zbyt filozofować. Wystarczy wybrać sobie przyjaciela, który umiałby zastąpić przyjaciółkę albo też znaleźć przyjaciółkę z przymiotami przyjaciela.

Proust obowiązuje tylko tych, których obowiązuje. Freudym kwitnąć przed Freudem, więc nie widzę powodu, żeby schodził do rodzinnego grobowca rodziny Freudów razem z twórcą psychoanalizy. Czy pan słyszał o dziele „Filozofia powszechna” Duponta de Nemours? W Polsce ogłoszono na progu romantyzmu wyjątek z tej pracy, poświęcony stworzeniu człowieka w ogóle, a w szczególności jego żeńskiej odmiany. Bóg nieba, światła i dobra, wielki Ormuzd, w takich uranicznych aluzjach i psychoanalizy symbolach słał powaby kobiecie: „Niech zaślepiająca białością świetne jej łono wystawia niebieskie globy; niech pączek róży, będąc namagnesowanym ich biegunem żądy, pierwszych użyć rozkosz, dziecinnemu wiekowi pierwszego pokarmu; i niech na zawsze zostanie tajemnicą, kogo z nich, czy ojca czy syna bardziej uszczęśliwi” („Dziennik Wileński”, 1821, t. III, str. 431).

Jak pan widzi, na niektóre kompleksy psychologiczne cierpiał już sam Ahuramazda. Psychoanaliza, jak wynika z przytoczonego wstępu, zaczęła się razem z anatomią ludzką, a nawet trochę wcześniej, bo już w samym boskim projekcie tej anatomii. Mamy tu jakby „uniwersale psychoanaliticism ante rem”. Domyślam się, że pańska godna pochwały ciekawość nie oszczędzi mi pytania, czym się wobec tego różni Freud od Ahuramazdy? Jeśli

się nie mylę, jest między nimi dość znaczna różnica. Ahuramazda miał kompleks intencjonalnie zahamowany. Na samym progu stworzenia już go spychał pod próg świadomości („Niech na zawsze zostanie tajemnicą kogo z nich, czy ojca czy syna bardziej uszczęśliwi”), a Freud miał wszystko na wierzchu. Niech pan sobie wyobrazi psychikę dwuwymiarową — to Freud. To był człowiek najzupełniej pozbawiony trzeciego wymiaru duszy i dlatego kompensacyjnie starał się stworzyć sobie duchowy wymiar czwarty czyli podświadomość.

Co do poruszonych zagadnień ściśle literackich, to stanowco preczenia pan moją kompetencję. Poezja demokratyczna, czy awangardowa? Nie bardzo rozumiem, dlaczego pan myśli rozłącznie. Przy pańskiej szerokości zainteresowań i syntetycznej metodzie pracy pokona pan na pewno wiele wulgarnych przeciwstawień. Będzie to wymagało pewnego wysiłku, przed którym pan się broni ze względów wyższych. Ale pan jest takim kutwą energetycznym, leży pan na nagromadzonej energii, że jeden czy drugi ekspens, ba, nawet wybrzyk, jeszcze pana nie zrujnuje. Więc proszę zakasać rękawy i do syntezy! Nie będzie to zresztą trudne, bo demokracja zawsze jest awangarda. Co się zaś tyczy rymów, to radzę pisać rymami umiarkowanie asonansowymi lub asonansami zlekka się rymującymi.

Ponieważ musi się pan śpieszyć, żeby zdołać się wybić przed nową wojną, radzę szybko zdecydować się na krytykę socjologiczno-psychologiczną. Bardzo ważna jest technika pisarska. Dla rozważki przepisuję tu panu fragment krytyki książki Feliksa Jarońskiego „O filozofii”:

Mapy dr. Prota Sowizdrzała

Czytając wydobyty z archiwum dr. Prota Sowizdrzała „Młot na syreny”, przypomniałem sobie moje spotkanie z tym słynnym dziwkami. Zetknąłem się z nim później niż Wacław Kubacki (por. „Rozmowy z dr. Protem Sowizdrzałem”, „Odrodzenie”, nr 22), bo dopiero w pierwszym roku wojny w Warszawie. Na ścianach pracowni dr. Prota, której połowę boday zajmowała jego olbrzymia „TeKa”, wisiały również reprodukcje starych map. Zwróciłem na nie uwagę, a doktor Prot, jak zawsze chętny w udzielaniu swojej wiedzy, zaczął mi objaśniać największą z nich. Pamiętam jak dziś jego skrzypiący głos:

— W średniowieczu mapy stanowiły zarazem podręczniki geografii. Widzi pan ten znaczek przy zarysach wysp? To są litery — wetknął mi w palec lupę. Rzeczywiście coś tam było napisane. Objasniał dalej: — To, co ma pan przed sobą, to jest katalońska **mappa mundi**. Katalońscy geografowie wykonali ją dla króla francuskiego Karola V w latach 1375—78, obecnie znajduje się w Luwrze. Wi-

„Będąc członkiem królestwa moralnego w świecie podskiężcowym i członkiem wielkiej wszechni świata, jako człowiek bytujący, odebrałem w podziale rozum, którego powinnością jest robić pojęcia, czyli dostarczać konceptów. A lubo głowa moja nie jest możliwą, ani możebną, owszem w rozumie moim nie ma tegiej bierliwości (receptibilitas), Wszechnia (totum universum) jednak uczyniła impresję w moich organach czulnych, czego wypadkowością były rozmyśl i obserwacja. Umężniony więc chęcią poznania po znamionach poetycznych dziania się (factum), gruntu poetyckiego, który wydał filozoficzne owoce, zastanowiłem się nad filozofią liżniętą, nad jej wznawiaczami, wyjaśnierzami, rozszerzaczami, zastosowywaczami, ścięszniaczami i sprostowywaczami. U wszystkich powstała powszechna umysłów fermentacja” („Dziennik Wileński”, 1817, t. V, str. 105).

Przy wyteżonej pracy wspomnianą metodą syntetyczną, w połączeniu z niektórymi osiągnięciami kolektywizacji umysłowej, na pewno zdąży pan się wybić przed wybuchem nowej awantury światowej. Terminem wojny niech się pan nie zajmuje. W razie czego postaram się pana uprzedzić telegraficznie dzień naprzód.

Kreślę się z poważaniem sowizdrzałskim.

(podpis nieczytelny)

List ten, nadesłany mi łaskawie przez anonimowego czytelnika, podaję do druku modernizując pisownię i dodając nagłówek. List bez daty, własnoręczny, format 35 × 22 cm, papier biały bez znaków wodnych.

Wacław Kubacki

dził pan na morzu, między tymi wyspami — pokazał gdzieś tak, jak w przedłużeniu półwyspu malajskiego — widzi pan to objaśnienie? Przeczytałem. Na morzu tym znajdują się dwa rodzaje ryb, zwanych syrenami. Jedna jest na pół kobieta, na pół ryba, druga do połowy kobieta, a od połowy ptakiem.

Przeczytawszy z mapy to objaśnienie, doktor Prot zadumał się i zaczął monologować: — To ciekawe. Ten drugi gatunek syreny, od pasa ptaka, to ciekawe. Typowe życzenie wyobraźni. Kobiety bywają gadatliwe, niechżeż gadają przynajmniej ptasim głosem. Słowika, kolibra.

Nie wiem, co się stało ze zbiorem map dr. Prota Sowizdrzała. W każdym razie uważam za swój obowiązek przypomnieć ten drugi, bardzo mało znany gatunek syren, o którym wiadomość zawdzięczać nieocenionemu erudy. Czynnę to w nadziei, że geografowie nie omieszkają odpowiedzieć, czy rzeczywiście mówi o nim katalońska **mappamundi**.

Kazimierz Wyka

KRONIKA FILMOWA

„Szary lord”, film produkcji angielskiej, scenariusz Margaret Kennedy, reż. Leslie Arliss.

Jest rzeczą zastanawiającą, jak powieść, nawet o średniej fakturze pisarskiej, o ile ma tylko trafnie postawione charaktery i jasno zarysowane konflikty — zyskuje ostrogi w opracowaniu filmowym, dostatecznie pieczołowitym i poetyckim. Margaret Kennedy przerobiła swój scenariusz z czej innej jeszcze powieści — i cóż właściwie dała? Na dobrą sprawę — opowieść „z wyższych sfer towarzyskich” (nie chcę tu przywołać analogii z naszą smutną tego rodzaju literaturą), charaktery wymalowała na białą i na czarno, skąpała wszystko we łzawym pesymizmie, i koniec. Czy rzeczywiście na tym koniec? Jeśli jej się udało o drobny procent przesunąć swą fabułę, w kierunku prawdziwego studium charakterów, to jest to

osiągnięcie, które wystarczyło, by dać kościec fragmentu filmu.

Literackie ujęcie ramowe opowieści jest takie: na przetargu ruchomości margrabiowskiej rodziny de Rohan spotyka się para młodych ludzi: oboje lotnicy — mundurach. Podobają się sobie. W ich oczach pod młotek idą cenne płótna i pamiątki żywych kiedyś spraw: portret „Szarego lorda”, margrabię do Rohan, jego żony, szkatułka z drobiazgiami pięknej i nieszcześliwej heroiny zapomnianego romansu. Okazuje się, że oboje młodzi są w prostej linii potomkami pary kochanków z tamtej empirycznej epoki, zdławionej konwenansem, unieszczęśliwionej przez znową opinię. Ci młodzi tych przeszkód nie znają. Po skończonej aukcji pędzą razem do autobusu przez jezdnię zastawioną bibelotami z tego wielkiego przetargu...

angielskiego tradycjonalizmu. Oto demokracja — pokazana na sercach młodzieży. Treścią romansu z połowy XIX stulecia jest historia przyjaźni i nieprzyjaźni dwóch dziewcząt z arystokratycznego pensjonatu: Klaryssa Richmond (blonde; nalwny anioł, który by i zmie do serca przytulił) i Hester Shaw (brunette; czarny charakter). Hester walczy o zajęcie pozycji margraby de Rohan, żony „Szarego lorda”, despoty, okrutnika i pyszałka. Klaryssa jest tą niekochaną i niekochającą żoną, jako romantyczka bowiem upodobała sobie wedrownego aktora, banitę z Jamajki, z którym bez wahania podzieliłaby niepewny los. Kiedy inne środki zawodzą, Hester zbrodniczo usuwa Klaryssę ze swej drogi i z kolei sama ginie pod laską „Szarego lorda”, któremu pycha rodowa dyktuje taką formę zemsty nawet na ukochanej dziewczynie — za podniesienie ręki na członka rodu de Rohan.

W akcji jest mnóstwo powikłań i utłomności, ale wysoka klasa gry aktorskiej pozwala nie pamiętać o defektach. Realizm tej gry — drapieżny, zaskakujący ekspresją nawet brutalną, ale w danej chwili nieodzowną, daje wyobrażenie o sztuce aktora angielskiego, doskonałego prawie przez czterysta lat od szekspirowskiego teatru. Filmowo — każdy szczegół bogatej sceny idealnie zharmonizowany z całością. Kamera i dźwięk niezwykłej precyzji.

Personifikacja zła atrakcyjnego (Hester) udało się twórcom filmu dzięki aktorce niezwyklej urody (M. Lockwood). Słodką, naiwną Klaryssą jest P. Calvert. Role męskie, skonstrastowane wyraziście w typach fizycznych i w charakterach, odzwierają J. Mason (Szary lord) i S. Granger (aktor).

Marian Promiński

KOESPONDENCJA

SZKODNICTWO TEATRALNE

Do redaktora „Odrodzenia”

Julian Przybysz w artykule „Upowszechnienie czego?” („Odrodzenie”, nr 26) porusza sprawę upowszechnienia kultury i sztuki i wskazuje na szkodnictwo kulturalne, wyrządzane przez wydawnictwo „Co tydzień powieść”, „Senniki egipskie”, reprodukcje obrazów i okupacyjne tanga.

Artykuł ten przeczytałem z wielką satysfakcją i radością, że nareszcie znalazł się pisarz odważny, który poruszył ten wstydlawy problem. Uważam natomiast, że zbyt mało uwagi autor poświęcił sprawie teatralno-widowiskowej, która na przykład na Śląsku Dolnym wygląda katastrofalnie.

Jako przykład podam Kłodzko, Puszczyków-Zdrój, Duszniki. Miejscowości te mają piękne sale teatralne, niestety bardzo rzadko zagląda tam dobry zespół teatralny. Bujnie kwitnie natomiast szkodnictwo teatralne, szerzone przez panią Helenę Wielgomosową, niesławnie pamięć „pionierki” kultury i sztuki polskiej w czasie okupacji, obecnie występująca na Dolnym Śląsku pod pseudonimem Larisy Domańskiej.

Na dobro publiczności należy zapisać, że niekiedy występy pani Wielgomosowej kończą się „wygwizdaniem” i tupaniem nogami (Puszczyków-Zdrój). Artystka składa złośliwe podziękowania za kulturalne zachowanie się publiczności, a kiedy przychodzi do tłumaczeń pod adresem tej pani, że gestapo wraz z publicznością okupacyjną było kulturalniejsze — grozi wówczas milicją i sądem.

Julian Przybysz zapytuje, kto ponosi odpowiedzialność za szkodnictwo bzdurnych druków i reprodukcji — ja pragnęlibym zapytać, kto ponosi odpowiedzialność za szkodnictwo moralno-kulturalne wyrządzane przez takie panie jak Wielgomosowa? Może nie potrafiłbym ocenić starań general-gubernatora Franka, ani zastużonej redaktorki Fali, uważam jednak, że dziś, kiedy dzięki milionom ofiar istnień ludzkich zrzuciliśmy z siebie koszmarną okupację hitlerowską, z życia społeczno-kulturalnego winny zniknąć okupacyjne widma!

Jan Dobrowolski (Puszczyków-Zdrój)

ŁASZOWSKI REDIVIVUS!

Do redaktora „Odrodzenia”

Ze zdumieniem od pewnego czasu spotykam w pismach o zabarwieniu katolickim artykuły, nowe i wzmianki podpisane coraz to innym nazwiskiem, których autorem jest pan Alfred Łaszowski. Człowiek ten jeszcze od czasów przedwojennych pieczętujący się swastyką, należący do grupy, która wydała niesławnie pamięci Ferdynanda Goetla, Skińskiego i Burdeckiego, nie tylko wypłynął, ale przylgnął przez obóz katolicki, urasta teraz do roli ideologa tego obozu. Pomijam sprawę niewybredności katolików i ich brak wrażliwości na wpływy faszystowskie. Idzie tu jednak o coś więcej.

Nie może być w Polsce dziedziny, w której niedawni zdrzący i hołdownicy Hitlera mogliby znaleźć schronienie. Tym bardziej nie mogą go znaleźć w świecie pisarskim. Zarazonym, jeśli jeszcze nie zostali odosobnieni, nie wolno pozwolić na rozprzestrzenianie zarazy, na zatrucie polskiego powietrza.

Jest coś tragicznie ponurego, jeśli z tej samej ambony głoszą swą wiarę ks. Konstanty Michalski i pan „Jasienica”.

Kazimierz Nartowski (Warszawa)

SPROSTOWANIE

W nr. 30 (87) „Odrodzenia” w dziale „Kroniki ilustrowanej” wskutek przeoczenia korektorskiego przedstawiono klisze.

Pod zdjęciem pierwszym podpis winien brzmieć: **Walenty Katakajew**, pod kliszą drugą: **Aleksander Fadijew**.

W artykule J. Przybysia „Temat malarski” zdanie: „Przeżyłca społeczne mamy wszyscy wspólnie...” winno brzmieć: „Wspólne przeżyłca społeczne mamy wszyscy...”

Kilka tytułów popularnych wydawnictw zilustrowanych historią kolejowej podróży

J. Huszcza

M. Jastrun

A. Fiedler

rys. Zbigniew Lengren

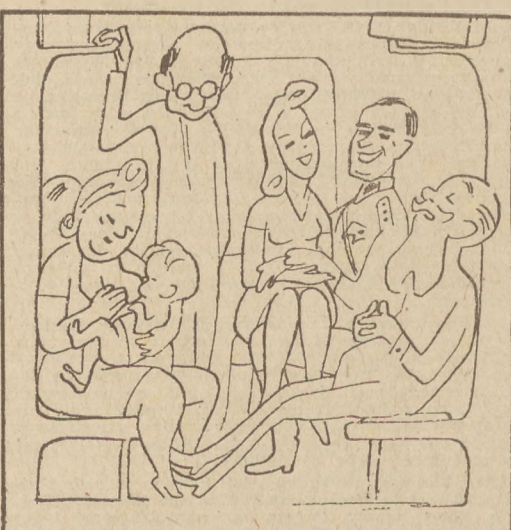
J. Przybysz



„LBEM O ŚCIANĘ”



„RZECZ LUDZKA”



„DZIĘKUJĘ CI KAPITANIE”



„MIEJSCE NA ZIEMI”